

Pietkiewicz Antoni (nazw.)

# SMĘTARZ

OBRAZEK FANTASTYCZNY

PRZEZ

*Adama Ptuga. (pseud.)*

---

**KIJÓW,**

NAKŁADEM KSIĘGARNI L. IDZIKOWSKIEGO

—  
1862.

30

Pietkiewicz Antoni

# S M Ę T A R Z (\*)

(\*) Pisownia zachowana według woli i pojęć autora jak w tym wyrazie, tak i w całym dziele.

*Przypisek Redakcyi R. D.*

Pietkiewicz Antow

# SMĘTARZ

## OBRAZEK FANTASTYCZNY

PRZEZ

Adama Pługa.

(pseud.)

KIJÓW,

NAKŁADEM KSIĘGARNI L. IDZIKOWSKIEGO

1862.

30

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0489828

opz



132002

Pozwala się drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Kijów dnia 4 czerwca 1861 roku

Cenzor O. NOWICKI.

PAMIĘCI

STANISŁAWA WIRGIŃSKIEGO

poświęca

AUTOR.

w Drukarni J. Chrzęszcza i Spółki w Żytomierzu.

— 3 —

„Nic tu nie jest, jedno dom Boży, a tu  
brama Niebieska,“ (Gen. XXVIII. w. 17).

Wybacz mi, gościu mój drogi, że cię na smętarzu przyjmuję! wybacz, a nie zwracaj od progu przykrej na pozór gościny, bo w rzeczy nic w niej wstrętnego nie ma. Cichy ten zakątek ziemi tak dobry, jak i wszelkie inne ustronie, a że grobami okryty, to nie różnica, bo gdzież grobów nie ma? tu one tylko krzyżami znaczone, a ileż to ich bez krzyżów codzien depczemy? Od grobu Abla, od wielkiej potopowej mogiły, do tej która się w to mgnienie otwiera, ileż to ich powstało przez wieki wieków, i w waśniach bratobójczych i wkrwawych potopach, i w cichem pielgrzymstwie rodu ludzkiego ku wieczności! Weź garsteczkę piasku, choćby z pod nóg weselnego orszaku, wpatrz się w nią duszy oczyma, a zawahasz się pewno, czy ją rzucić napowrót, czy złożyć w urnie grobowej i uczcić modlitwą za umarłych, i lżą żalu poświęcić; bo jestże jaki marny pyłek na ziemi, coby się z prochami ojców naszych nie mieszał?

bo czemże ta ziemia cała, jeśli nie jednym wielkim smętarzem wszech ludów, jedną olbrzymią urną ludzkości, uwienconą ś. Krzyżem Golgoty? Świat w ręku Zbawiciela w obrazach Bizantyńskich, to jakby symbol tej prawdy; ta kula ziemiska ze znakiem zbawienia na szczycie, to popielnica wszystkiej Bożej dziatwy, krwią jego odkupionej, z tryumfem podniesiona ku Niebu.

Nie gardź więc gościu mój miły smętarną moją gościna, jak i gościna świata nie gardzisz; a jeśliś oplakał choć jedną drogą istotę, jeśli masz w Niebie bratnią jaką duszę, do której tęsknisz na ziemi, to klęknij ze mną u krzyża na grobie, a duch twój oskrzydłony modlitwą, jak Anioł po drabinie w śnie Jakubowym, po krzyżu wstąpi pod szczyty Niebieskie i ujrzy Boga swojego i ukochanych swoich w Jego świętej chwale, i rzekniesz z patryarchą: „Nic tu nie jest, jedno dom Boży, a tu brama Niebieska.“

Na Podolu, na Dniestrzańskim porzeczu, w okolicy najgłębszych jarów i skał najfantastyczniejszych, jest wiele miejsc precudnych, bogatych w tak uroczę, a razem tak oryginalne

wdzięki, jakich daremniebyś szukał w najślawniejszych z malowniczości krajach Europy.

Otośmy pośród równiny: jak okiem rzucić, dokoła niezmierna pól szachownica, gdzie tylko urozmaicona kępą zielonych brzoź lub dębów, przydrożną figurą między topolami, stertą pszenicy, albo karczemką, czatującą jak zbójca na łup na rozdrożu. Powiada nam przewodnik, że tuż tuż miasteczko; ale go nigdzie nie dojrzeć, choć dla oczu widok taki rozległy. Jeszcze kilkaset kroków — o dziwy! przepaść otwiera się przed nami — droga spada gwałtownie w olbrzymią kotlinę, przez którą biegnie ku Dniestrowi jedna z najważniejszych holdowniczek jego, i tu, groblą przeciętą, rozlewa się ogromnym stawem. Niżej za groblą wzdłuż rzeki ciągną się rzędy bieluchnych domków o czerwonych dachach, jedno u samej wody, przez pól na palach, drugie na wybrzeżu, te znowu wyżej na skalistym terasie, i jeszcze wyżej i wyżej, coraz już mniejsze, coraz bezładniej, jak stado kóz dzikich rozpierchłe między skałami;... jest to miasteczko.....Lecz mniejsza tam o nie — wróćmy do stawu; wyniosłe boki kotliny po obu jego stronach, wygięte w amfiteatr, nagie, jałowe, nastrzępione tylko skałami, najrozmaitszych kształ-

tów, barwy i rozmiarów, że to się zdają zwaliskami baszt starych, to olbrzymami w kamiennych hełmach i kamiennej zbroi, to (gdzie się po nich ciągną wapienne smugi) kościotrupami tytanów, przywalonych głazami od pamiętnego boju z Jowiszem, to wreszcie gromadką zaczarowanych pielgrzymów, o których bajka mówi, że w czarodziejskiej krainie, w drodze do zamierzonego celu obejrzawszy się po za siebie, skamienieli, i tak czekają nim je kto *wodą żywiącą* odczaruje. Gdzie niegdzie tylko u źródła, co srebrzystym paskiem tryskając ze skały, szeliszcząc zbiega po kamykach, szumi zielone drzewko i stoi stary krzyż kamienny; gdzie niegdzie w głębokiej grocie ukryta kapliczka błyska świętym obrazem Bogarodzicy; a zresztą pusto i dziko.....Leez za to patrzmy tam w górę rzeki— cóż to za urok! jar główny tam się rozdziela na kilka promieni, rozpostartych jakby olbrzymi, cudowny wachlarz, rzeźbiony i malowany mistrzowską ręką jakichś nadziemskich istot. Z naszego punktu widzenia wszystkie pióra tego wachlarza, objąć możemy jednym rzutem oka, choć w taki sposób trudno skupić wrażenie, trudno zdać sobie sprawę z oglądanego obrazu, bo tyle tam kraszy nieporównanej, tyle różnaitości w tej

krasie, że raz spojrzawszy, oczy się rozbiegną, i już ani rady z niemi!.... Wszystkie te jary głębokie o stromych, skalistych bokach, szersze lub węższe, to proste, to zygzagowate, wysłane przepysznią zielenią sadów, ogrodów i *lewad*, na tle których świecą bieluchne chatki, zbiegające bezładnie z wyniosłych wybrzeży tam wgląb' ku wodzie, nad rzeczkę lub stawek, osadzony powiewnemi wierzbami. Czasem stroma ściana parowu tak ślicznie ci się postawi, jak gdybyś obraz powiesił! przeliczysz wszystkie lepianki, wszystkie sterty zboża, wszystkie ule wśród sadu; dojrzyś każdej krówki, każdej owieczki na lewadzie, każdego dzieciaka wypasającego się na gruszy, zrachujesz wszystkie kawony i melony na basztanach, i wszystkie kaczany na kukuruzie, wszystkie grona w winnicy; zdejmiesz najdokładniej plan wszystkich ogrodów, porozdzielanych okopami, misternie ułożonemi z darni i kamieni, obsadzonych wieńcami liejum i dzikich bluszczów.—A czasem znowu zębate boki jaru tak zazdrośnie wszystko zamaskują, że z poza sadów, z poza skał ogromnych gdzieniegdzie tylko migną błyszczące kopuły cerkiewki, wynurzą się wyniosłe wierzchy stert zbożowych, zamajaczej wysokie kosze na kukuruzę, a wysmukłe pira-

midalne topole każą się domyślać karczmy lub ekonomii. Zresztą wszystko ukryte w tajemniczym cieniu zieleni—na pierwszym planie tylko młynek turkocze między wierzbami, pasie się trzódka nad wodą, baby piorą bieliznę, stojąc na kamiennych płytach pod łotokami, a zgraja dziatwy pluska się w wodzie, lub się po skałach czepia nad rzeczką z wędkami, albo siatkami..... Chyba gdzie rezydencja dziedzica, tam już inaczej! Tam, gdzieś na miejscu najokazalszem, gdzie skały najfantastyczniejsze, gdzie stawek najczystszy, przesłiczne klomby kasztanów, akacji, świerków, sumaków, wskażą ci ogród angielski, z pomiędzy nich migną altanki, minarety, posągi, zaświecą sztuczne kaskady i kanały z wiszącymi mostami, i zgrabniutkiemi czółenkami, i żółcieją tu ówdzie żwirowane ulice; a między szczyty drzew kędzierzawe ujrzysz czerwone dachy i białe mury *palacu*, i szklanne ściany *trebhauzów* i *oranżerji*....Inaczej znowu, kiedy w owym jarze głębokim, w cienie ustroni, zarosłej gęstą leszczyną, lipą i grabem, kryje się *futor* szlachecki. Patrz oto bieluchny, słomą kryty dworek, z gniazdem bocianiem, tuli się w zieleni wielkiego sadu, otoczonego płotem chróścianym na pochyłości parowu. U dołu grusze, jabłonie, wiśnie

i znakomite węgierki; na wyższym tarasie piękna winnica, a obok basztan wspaniały; w sadzie suszarnia, w winnicy buda słomiana dla stróża. Tam znowu nieco opodal, między lipiną drugi sadek się kryje, a w nim przesłiczna pasieka. Obok lepianki pasiecznika, niziuchna, przygarbiona, w ziemię zapadła, ale bielusienka, jak łabędź! powój i fasola wkoło ją oplotły, rosochate jabłonie strzechę gałęziami okryły, i ciekawe harbuzy z niewielkiego ogródka poufale na nią powylaziły, i wygrzewają się na słońcu, i z dumą patrzą w dół na ogórki, a nawet na kukuruzę i na słoneczniki. W pasiece pod gruszą siedzi siwy staruszek i struże obręcze, lub ule *snozi*, rojów wyglądając, a przy nim czujny kundys rozciągnął się na trawie, złożył mordę na przednich łapach i pilnie się przygląda świegotliwym wróblom, uwijającym się na płocie. A między dworkiem i pasieką nie wielka szyba wody, niby to stawek, sztucznie zebrany z okolicznych źródlisk, co tu ówdzie z pod skał się sączą, znaczne po wierzbach zielonych, a czasem to i po figurze lub kapliczce, obsadzonej drzewami i bujnem kwieciem. A dalej wzdłuż jaru leży kilka chat wieśniaczych, opodal jedna od drugiej, każda swoim dworem, jakby szlachecka zagroda;



przy każdej sadek przesłiczny, a przynajmniej kilkanaście wisień i czereśni, przy każdej choć jedna stertka pszenicy, każda ma i swój ogród warzywny, i zieloną lewadę, i swoją krynice.... Między niemi ściele się droga, nie droga a raczej ścieżka skalista, dziwnie pokręcona i połamana, to wspinająca się na urwiska, to stromo spadająca w wąwozy, to wijąca się po samym brzeżku przepaści, że straszno przejść po niej, a cóż dopiero przejechać; lecz za to jaka malownicza, jaka urocza! a gdy na domowe potrzeby wystarcza, to i dzięki Bogu.

Takich to obrazów tłum niezliczony mamy przed sobą w tych kilku jarach, to obok, to w panoramie bez końca, jak oto tam np. gdzie jar prosty, z szeroko rozwartymi zębatymi bokami, coraz wyżej się wznosi, jakby się po tarasach wspinając, a rzeka, środkiem jego dążąca, w kilku miejscach poprzerywana groblami, tworzy kilka stawów kolejnych, które ztąd wszystkie widać jak na dłoni, jeden nad drugim, otoczone malowniczymi wioskami, poprzedzielane to leśniami ustępy, to zagonami bujnej pszenicy.

Takie widoki nad Dniestrem są bardzo pospolite. W ogóle tam, jadąc równiną, mało się osad spotyka, i tylko dąbrowy i gaje przerywają

monotonność rozległych łąnów; bo wszystkie prawie wioski i miasteczka kryją się po głębokich jarach i kotlinach, i tam dopiero całe bogactwo, cała urocza różnaitość pejzażów, na którą się składają najprzedniejsze warunki piękności krajobrazu: skały, wody i drzewa. Są tu jak gdyby dwa światy zupełnie różne: jary i płaszczyny, czyli tak zwane grzędy między niemi; a nic równie czarodziejskiego jak przejście z jednego w drugi, lub jak te chwilowe zjawiska, gdy droga wbiegnie na krawędź grzędy, odsłoni precudną panoramę, nieraz na kilkanaście wiorst rozległą, i nagle się zwróci, i znów nic nie widać oprócz falistej płaszczyny bez końca; bo wzrok się ślizga po równinie i ani się domyśla owych cudnych przepaści, ponad któremi przebiega z jednej grzędy na drugą.

---

W takiej to okolicy leży miasteczko, do którego się przeniosę z mojem opowiadaniem, a które nazwę ot choćby Sliwinem, bo nie o miasteczko tylko o jego smętarz nam idzie. Dziwny to smętarz! dla marzyciela to prawdziwa pokusa! nie jeden taki w poetycznym szale gotówby

śmierci zapragnąć jedynie dla tego, aby tam spocząć snem wiecznym! Trudno bo wyobrazić sobie coś równie uroczego, jak ta dziedzina grobów. Gdyby nie gęste krzyże i krzyżyki, tulące się między drzewami, byłby to najwspanialszy ogród angielski. I musiało tak być przed laty.—Leży ten smętarz na lekko pochyłym wybrzeżu stawu, sformowanego przez dwa strumienie, zbiegające z przeciwnej strony przez dwa głębokie jary, między dworkami i lepiankami, poczepianemi na skalnych urwiskach wśród bujnej zieleni. Sam więc już wybór miejsca potwierdza nasze domysły. Prócz tego trudno przypuścić, aby ocieniające go przesliczne klomby drzew olbrzymich same tak symetrycznie wyrosły, aby te świerki i akacje same się popod skałami zasiały, aby wiatr jakiś zaniósł tu ziarnka kapryfolium i dzikich winogron, co tak uroczo pną się dziś po tych głazach; a i ten strumyczek pewno sam przez się tak nie rozgałęził i nie potworzył tych wdzięcznych sadzawek. Nic już nie mówię o bujnych krzewach jaśminu, bzu, róży i sawiny, bo zresztą nie raz je sadzą na grobach; lecz godne uwagi i te ścieżynki między mogiłami, wprawdzie dziś zapuszczone, ale wyraźnie prowadzone niegdyś umyślnie i ze zwiru ubite. A wreszcie zastana-

wia niemało i ten mur wyniosły, opasujący wkoło to tajemnicze ustronie, na który nie mogłaby się zdobyć parafia uboga.

• Między rozłożystemi lipami i jaworami stoi tu murowana kapliczka, dosyć obszerna, lecz prostej struktury, jakby kamienica o wyniosłym dachu, kopułką tylko z krzyżem uwieńczona, a nieco niżej ku stawowi, tuż obok bramy smętarnej, na ciemnym tle świerków poważnych, u dołu opasany kwiecistym wieńcem róży i jaśminu, świeci bieluchny domek grabarza. Nie jest to zwyczajna licha lepianka, o krzywych ścianach i dziurawej strzesze; ale przesliczny dworek kamienny, dosyć obszerny, o gontowym dachu, o dużych jasnych okienkach, o pięknym ganeczku z ciosowymi ławkami, z kądem widok na zielone podwórko nad jasnym stawem, i na te jary i rzeczki zbiegające ku niemu. A jest też przy nim i spory sadek, i ogród warzywny, i kilka gospodarskich budynków — słowem nic nie brak ani do wygody, ani do przyjemności, i aż dziw bierze, z kądem się to wszystko wzięło na smętarzu?

Lecz dość tych opisów, któremi już pewno przykrzy łaskawy mój czytelnik; dosyć krajobrazów bez człowieka, bo wszakci to nawet regu-  
łom sztuki przeciwne; przejdźmy do ludzi i zdarzeń.



Kilka to już lat temu, na opisanym smętarzu, gromadka ludu tłumnie się cisnęła wkoło świeżego dołu, nad którym kapłan, w białej kapie, otoczony bractwem kościelnem z całym pogrzebowym przyborem, śpiewał hymny żałobne, poświęcając cichy domek wieczności. Obok stała trumna błękitnym aksamitem i srebrzystymi galonami obita, przy której na klęczkach, wiążąc się do niej rękoma, łkała rzewnie jakaś kobiecina uboga, w czarnej lichej sukience, snąc już staruszka sędziwa, bo choć nie było widać twarzy przytulonej do trumny w pocałunku namiętym, z pod krepowego czepka wymykały się bezładnie włosy śnieżnej białości. Za nią się garneły dziewczęta służebne, rzewnym zawodząc płaczem, i ręce łamiąc w bólu serdecznym; a dalej stał jakiś zgrzybiały, opasły, z obwisłemi policzkami jegomość, po pańsku ubrany, mnąc czapkę w rękę i darmo mrugając czerwonemi oczyma, z których łez nie mógł wycisnąć, a baczny spozostregacz łatwoby w nich dojrzał wyrazu nieukontentowania i niecierpliwości, z jaką zérkał niekiedy na ową staruszkę, wyrazu prawie wściekłości, z jaką je ciskał na stojącego tuż przy trumnie młodzieńca, co z wyrazem niewymownej boleści w bladej jak marmur twarzy, w ustach zaciętych,

z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, suche, iskrzące oczy z pod brwi cierpko ściągniętych na czole, utkwił gdzieś w nieskończonej przestrzeni, jak gdyby nikogo w całym tym tłumie, ani nawet grobu, ani trumny nie widział, nieruchomy, bezwładny, rzekłbyś posąg wiecznej żałoby, przygotowany na tę mogiłę. Dalej wśród tłumu czerniało jeszcze kilkanaście figur frakowych, a dwaj jacyś zacni obywatele, stojąc na uboczu, z uśmiechem spoglądali na opasłego jegomości, i z cicha wiedli rozmowę:

— Patrz, patrz, jak się nasz grubas krzywi, jak gdyby zjadł kiślicę! — rzekł jeden z kozią bródką.

— Biedne prezesisko! — dorzucił drugi w okularach zielonych — tak mu żal tych kilkuset rubelków, co za pogrzeb córki zapłaci!...

— Za to posag macierzyński w kieszeni — odparła bródka, — jest czem się pocieszyć; to tylko bieda, że djabli wzięli sperandę na koligacje hrabiowskie...

— Bah! — podchwyciły okulary — a gdzież nasze hrabiątko? godziłoby się przecie popłakać na pogrzebie swojej narzeczonej.

— Zachciałeś! starowina zły jak sto djabłów, bo wyszedł na tych konkurach, rychtyg jak Zabłocki na mydle! gotów się teraz z swoją baletniczką ożenić!

— Cóż to za historia?

— Jak to? nie nie wiesz? ta imościanka, co to przy nim bawiła, za pielęgnowanie jego starości brała rocznie tysiąc dukatów, z tem zastrzeżeniem, że w razie jego śmierci, lub niewiary, otrzyma gotowizną 200,000 złotych. Rzekłszy Bogiem a prawdą już mu babina trochę dojadła, bo strasznie wzięła go w łapy, a co najgorsza, zbrzydła i podłysiała, i dawnoby już dał jej absyrd niemiecki, gdyby nie to dictum acerbum o bonifikacie. Ale jak tylko mu się trafiła prezesówna, oburącz się chwycił wybornej tej *affery*. Młodziuchna, słiczna jak anioł, smakowita w najwyższy sposób i z 400,000 posagu; czysta spekulacja! dobiwszy więc targu z prezesem, naznaczywszy dzień ślubu za trzy miesiące, spłacił swą niańkę i dał jej krzyżyk na drogę, ciesząc się zyskiem 200,000 i młodej piastunki; a ta tymczasem takiego mu figla spletała!

— A wiesz co, djabli to figiel!

— Otoż widzisz; jakże chcesz, żeby on jeszcze figurował na tej paradzie? Ręczę, że teraz gdzieś kopnął się do grodu, żeby albo skrócić głowę zapisowi dla baletniczki, albo wytoczyć proces prezesowi—bo to do niego podobne.

— Ależ to szelma i ten prezes! takiemu infamisowi córkę swoją zaprzedać!

— Co chcesz? głupi szlachcie przepada za hrabiowską koroną; sądził że na tronie córkę posadzi, jak ją za hrabiego wyda, a spieszno mu było, bo już włóczy nogi; bał się więc, żeby po jego śmierci Anielka nie wyszła ot za tego pana Leona, co tam stoi nad grobem, jak skamieniały, w którym się rozkochała na zabój. Było to tam lamentów i różnych desperackich awantur niemało; bo to już od dwóch lat się ciągnęło; ale stary uparty, Leona ani na oczy, bo i fortuna licha, i w głowie zielono, artysta, poeta, a co najgorsza—liberalista, demagog, chłopom pobłaża, bałamuci, zakłada jakieś szkółki, jakieś banki włościańskie, i ciągle prawi o czynszach... tem się też i dobił, tak że na samo jego wspomnienie, prezes do wściekłości przychodzi.... Patrz, patrz! jak teraz zabójczo nań zerka z podelba! żeby mógł, toby go w grób za córką wtrącił!...

— Ale to ją po prostu lotry zamordowali!... że też to nie ma sądu na takich zabójców! choć rzecz jasna jak słońce—pierwszy lepszy lekarz mógłby stwierdzić przysięgą, że z moralnych cierpień biedaczka umarła! a więc zabita!

— Zachciałeś! żeby to przyszło tak ściśle rzeczy te uważać, tobyśmy zadaleko zaszli....A i ten obok wspaniały grobowiec, mógłby ci nie szpetną

tajemnicę wyszeptać... Spoczywa tam pani prezesa, matka biednej Anielki, zmarła przed kilką laty... i to ofiara przedana i umęczona... teraz nie ma nawet komu po córce zapłakać — ot tylko poczciwa piastunka trumnę łzami oblewa i pokojówki rzewnie zawodzą — zresztą ani jednej duszy krewniaczej; bo ten biedaczysko, Leon, to i sam jakby nieboszczyk... at głupia to sprawa to życie ludzkie!... Bądź zdrów tymczasem! już podobno zaraz kończy się ceremonia — spieszę poprzędzie — na stypę, bom strasznie głodny, a prezesisko *występuje*; tyle tylko naszego, przepadło wesele, to choć tu odwetujemy za swoje! — i zniknął w tłumie.

Tymczasem kapłan skończył modlitwy i grób poświęcił... kilka kropel wody padło na czoło Leona — zadrżał, spojrzął dokoła, jakby do przytomności przychodząc: grabarze zarzucali sznury dla spuszczenia trumny do dołu, dziewczęta z głośnym płaczem odrywały od niej łkającą rozpaczliwie staruszkę... Leon chwycił za rękę zakrystyana, szepnął mu coś na ucho, z takim błagalnym, z takim przejmującym wyrazem w twarzy, że kamieńby mógł tem poruszyć; jakoż i poczciwy sługa kościelny łzy otarł rękawem, skinął na organistę i w mgnieniu oka podnieśli wieko trumienne... Prezes syknął jak żmija i odskoczył od

grobu; dziewczęta i staruszka padły na klęczki w niemej boleści, oblicze Leona zapromieniało anielską radością, jakby się Niebo przed nim otwarło... raz pierwszy po trzech miesiącach niewidzenia, ujrzał ją nareszcie... Piękna była i w grobie, strojna w białą sukienkę i w wianek zielony, jak oblubienica. — Nie nie zmarła, ale raczej uspioła tylko się zdawała: wyniosłe, gładziuchne jej czoło, ocienione puklami lśniących, czarnych jak heban włosów, spływających falą obfitą na śnieżną szyjkę, promieniało jakąś myślą uroczystą; na drobnych bladych usteczkach igrał uśmiech rzewny i smętny; rzekłbyś nawet że lekki oddech porusza delikatne błonki jej noska orlego, i wznosi bukiet mirtowy u łona, i chwieje obrazkiem w maluczkiach jej rączkach skrzyżowanych na piersiach... Z za chmury smuga promieni słonecznych na trumnę spłynęła, i oblala ją dziwną jasnością, ozłociła blaskiem cudownym, jak świętą. Jak zaczarowany umilkł tłum cały, ustały jęki i szepty, i była cisza tak wielka i uroczysta, jak gdyby Bóg z Niebios miał przemówić... i Bóg przemówił... potężny grom zatrząsł sklepieniem niebieskiem, a pono i sercem prezesa, bo pobladł i łzę przecie uronił... Ksiądz skinął, słudzy kościelni dzwignęli wieko, i jednym jękiem boles-

nym tłum cały jęknął... staruszka z łkaniem rzewliwym przypadła do nóg zmarłej, a gdy ją przemocą oderwały dziewczęta, wieśniacy i wieśniaczki gromadką cisnąc się do trumny, przyklękali z kolei, i rzewnie zawodząc, całowali stopki kochanej swojej panienci na pożegnanie wieczne. Nareszcie zapadło wieko, trumna dzwignięta stanęła na sznurach, z głuchym łoskotem zwolna się osunęła do grobu, kapłan wziął rydel, krzyż na ziemi nakreślił i rzucił pierwszą garść piasku do dołu. Padła z ponurym stukiem na trumienne wieko, a stuk ten straszniej od huku gromu zatrzęsł sercem prezesa...posłyszał go mimo jęku i łkania całego ludu, i po raz pierwszy sam zakał, zakał straszliwie, całą siłą swych piersi, jak gdyby na nie skała się zwała, i w jednym tym jęku całe z nich życie wyparła...i padł na klęczki twarzą do ziemi, zgnieciony jednym tem echem ponurem, co mu zagrzmiało w sercu głosem straszliwym: zabójca!....Zbiegli się słudzy, podnieśli go i uprowadzili, a wśród płaczu rzewnego, głuszącego ostatnie Anioł Pański, pocziwa ludu gromadka, wyprzedzając grabarzy, własnymi rękoma zarównała mogiłę.... Leon stał ciągle jak nieprzytomny, a potrącany i popychany przez grabarzy i o kilka kroków odsunięty od grobu,

ciągle się wpatrywał nieruchomemi oczyma w to miejsce, gdzie mu po raz ostatni zajaśniało drogie oblicze jego Anioła, jak gdyby jeszcze je tam oglądał... Nareszcie skończył się smutny obrządek, powoli tłum się oddalił w ślad za powozami Jaśnie Wielmożnych, tylko piastunka i dwie służebne długo się jeszcze modliły i płakały na grobie; Leon stał oparty o pomnik przyległy, bez łzy, bez modlitwy, bez ruchu. Nareszcie i te pocziwe płaczki, zakupione anielską dobrocią zmarłej, ze łkaniem powlekły się ku miastu, i sam tylko Leon pozostał na pustym i cichym smętarzu,—i jakby tylko czekał tej chwili, by tylko Bogu jednemu boleść swą powierzyć, padł na twarz na grobie, i żal długo tłumiony, rzewnym, przeciągłym, wskrós duszę przesywającym jękiem z meżkiej piersi wybuchnął, i łzy lunęły z oczu hojnym potokiem...I długo tak przetrwał łkając rzewliwie, tem straszmem, głębokiem łkaniem, na jakie pierś ludzka dwa razy w życiu zdobyć się nie zdoła, płacząc tym płaczem, w którym najświętsze łzy wszystkie z serca wypływają, bolejąc tym bolem, co raz wszedłszy do duszy, na wieki tak ją, zaklina, że choć sam i ustąpi, już nigdy radość prawdziwa do niej nie wróci....A kiedy twarz oderwał od ziemi, aby spojrzeć ku Niebu, jakby

chcąc tam odszukać swego Anioła — Zerwał się nagle z radośnym okrzykiem, rzucił się przed siebie z rozwartem objęciem i runął bez zmysłów... w tej bowiem chwili wśród ciemnej świerków zieleni, o kilka kroków od grobu, zajaśniało widmo cudowne, postać jakaś anielska; w białe strojną szaty jak oblubienica, czarne jak heban jej włosy, obfitą, lśniącą falą spływając na śnieżną szyjkę, wdzięcznie ocieniały wyniosłe, gładziuchne, pełne myśli czoło; z pod bujnych rzęs jedwabistych, łzami operlonych, czarne dwie gwiazdy świeciły promieniami serdecznego współczucia; a w łkaniu tłumionem drżały delikatne błonki orlego jej noska i drobne usteczka, umilone tym rzewnym uśmiechem, co to sam płaczem przesiąkły radby cudzą boleść ukoić... Słowem była to Anieła, Anieła żywa, wywołana żalem kochanka, czy z grobu, czy z Niebios, czy z własnej jego duszy... Nie dziwy tedy, że się tak rzucił do niego z radośnym okrzykiem i wysiłony gwałtownym wzruszeniem, upadł bez zmysłów.

---

Kiedy po chwili oczy otworzył, ujrzał się w małej szlacheckiej izdebce, na twardej sofce, ze skórzaną poduszką pod głową, a przy nim sie-

dział siwy jak gołąb' staruszek, w granatowym żupanie, spłowiałym, jedwabnym podpasany pasem. Białe jak mleko, krótko ostrzyżone włosy, wieńczyły mu wysokie, gęstemi zmarszczki okryte, czoło; sumiaste wąsy spadały niżej brody, wdzięcznie odbijając śnieżną swoją białością, od śniadej twarzy, suchej, pomarszczonej, ale pełnej wyrazu, niby zamyslenia smutnego, niby wielkiego bólu z rezygnacją mężką. Takim bydź musiał miecznik na grobie swojej Marji jedynej. — I starzec ten piękny w swojej smutnej powadze zdał się Leonowi także jakimś widmem niezemskim, w trwodze więc uroczystej i niepewności w niego się wpatrywał, daremnie pragnąc zebrać myśli rozproszone. Ale staruszek, skoro tylko spostrzegł przebudzenie się jego. —

— A przecież! — zawołał, — a dzięki Bogu! jużeśmy tu głowę stracili, nie mogąc się W. Pana docucić, i aż po doktora do miasteczka posłali...

I uradowany, z twarzą rozjaśnioną, powstał i wychyliwszy głowę przez drzwi przyległego pokoju

— Anielko — rzekł — dajże nam teraz kwiatu pomarańczowego — a duchem moja doniu!

Imie to nowem bolesnem zdumieniem przejęło Leona, w nowy zamęt myśli jego rzuciło. Usiadł na sofce, spójrział dokoła, spójrział na starca, chciał

coś przemówić—i nagle rękę wyciągnął wskazując na drzwi przeciwne, i jakby obumarł, jak zakrzepł, z ustami wół otwartemi, i z osłupiałym wzrokiem.... Tamtędy ze szklanką ziółek na tacy weszła—Aniela—Aniela z grobu—ta sama twarzyczka idealnej piękności, to samo wyniosłe czoło, też drobne usteczka i nosek wdzięcznym łukiem wygięty, też czarne, lśniące włosy faliste i bujne rzęsy jedwabne... Staruszek przestraszony przerażeniem Leona, porwał go za rękę, i lekko wstrząsając, wołał głosem troskliwym:

— Cóż znowu Wacpanu? Bójże się Boga! opamiętajże się przecie! napij się trochę, to ci lżej będzie! I wzięwszy szklankę z tacy, cisnął ją do białych ust Leona. Ten ciągle się wpatrując w dziwne zjawisko osłupiałym wzrokiem, machinalnie, bez samowiedzy, przełknął podane ziółka, wstrząsł się, zerwał się z sofy, i załamując ręce rozpaczliwie:

— Na miłość Boga! — zawołał głosem łzami przesiąkniętym, — gdzie jestem, co się ze mną dzieje?!

— Pan Bóg z Wacpanem! cóż ma być? — odpowie starzec — przyjdźże nareszcie do siebie! Jesteś pod chrześcijańskim dachem, u życzliwych ci ludzi, co cię zemdlonego ze smętarza podjęli; nic ci nie grozi, niczego się nie masz lękać... opamiętaj się człowiecze... pijże bo jeszcze...

I przemocą usadowiwszy go na sofce, znowu mu ziółka podał i przemocą wlał w gardło.

Leon spójrział na niego i znów na Anielę, której łzy ciche płynęły po białych licach i chwytając starca za rękę —

Któż wy jesteście? — kto ona? skąd się tu wzięła?

— Jam stary grabarz, a to wnuczka moja.

— Aniela?

— Aniela, cóż w tem dziwnego?

— A tamtaż? a tamta?

— Która?

— Ta którą dzisiaj pogrzebli...

— W niebie jej szukaj świętą modlitwą, — rzekł starzec poważnie, — a wybac mi, żem mimo woli boleść twą odnowił drogiem imieniem..

— Imieniem? — wykrzyknął Leon — ależ to ona! jej postać... jej wszystkie rysy...

— To traf jakiś szczególny — rzekł starzec zdumiony, i skinął na wnuczkę żeby się oddaliła.

Leon powiódł za nią oczyma, westchnął, oparł głowę na dłoniach i rzewnie płakać zaczął. Grabarz odszedł ku oknu, smutny, zbolący, łzy otarł z oczu natrętne, i w cichej gorącej modlitwie, wzywał z Niebios pociechy dla nieszczęśliwego. Ale po chwili, ujrawszy nadchodzącego



lekarza, wyszedł naprzeciw, aby go uprzedzić o stanie chorego.— A był to dobry przyjaciel i towarzysz szkolny Leona, który ujrzawszy go wcho-  
dzącego, zerwał się, i ze łkaniem rzewliwym upadł w jego objęcia. Lekarz ze współczuciem najżywszem przycisnął go do łona, a jeden ten uścisk serdeczny, szczery, wyrazisty, skuteczniej niż najczulsze frazesa, niż najsilniejsze rozumowania, wpłynął na zboląłą duszę Leona. Ustało jego łkanie, łzy tylko ciche płynęły po twarzy, oprzytomniał zupełnie, z tkliwym uczuciem zbliżył się do starca, ucałował go w ramie, jakby przepraszając za te przykre wrażenia, których mu był przyczyną, i wzajem ucałowany w głowę z ojcowską prawie czułością, oddalił się z lekarzem, który go z sobą zawiózł do miasta.

---

W kilka dni potem, na tym samym smętarzu, staruszek któregośmy poznali, przechadzał się między grobami z piękną swą wnuczką. Było to w cichy wieczór czerwcowy; słońce leżało już na krawędzi jarów nadrzecznych ostatniem spójrzaniem okolicę żegnając, i poziomym rzutem promieni, jakby skinieniem magicznej laski, wywołując tysiące najfantastyczniejszych, najczarowniej-

szych obrazów w uroczej grze światła i cienia. Zwierciadlana powierzchnia stawu to płynęła jasnym szkarlatem, to migotała łuską złocistą, to na lazurówem tle niebios kołysała cudnie malowne wstęgi wybrzeży, to, gdzie na nią padły cienia ponure, czerniała straszną, niezgłębioną otchłanią.... A w głębi jarów inne znów cuda! tam śród przepychu zieloności majowej w niezliczonych odmianach, igrały blaski słoneczne prawdziwie czarodziejskim sposobem, to przeświecając przez szmaragdowe opony, to gazą złotawą obrzucając drzewa i krzewy, to w mroczne parowy ciskając złote dziury, to urwiska z urwiskiem wiążąc niemi złotemi, to we mgłę wody rozprysniętej na młynskich kołach migocąc barwistemi tęczami, to jaskrawe pochodnie zapalając w oknach lepianek i na kopułach cerkiewnych, i świecąc, iskrząc się, mieniając, rozpraszając się i zlewając, tryskały i z góry i z dołu i z boków, odbijając się to od skał wapiennych, to od białuchnych domków, to od powierzchni rzeki.— A na stawie bujał łabędź wspaniały, pysznie wygiąwszy wdzięczny łuk szyi i rozwinąwszy żagle skrzydeł śnieżystych, i z dumą spoglądał w koło, od czasu do czasu groźnie pokrzykując, jakby świat cały na bój wyzywał;— bo przy nim zacna małżonka wiozła na grzbiecie

drobne swoje potomstwo, mniej groźna, lecz równie pełna godności i dumy; — i piękne były obadwa w tej swojej dumie rodzicielskiej ptaki niewinne. Dalej znów kołysały się wśród wieńców lotoci i nenufarów, nurki pierzchliwe, co na sam pozór niebezpieczeństwa z okrzykiem trwogi przepadały pod wodą wraz ze swojemi pisklety; a zabawny był widok, jak potem to biedactwo, rozproszone w podwodnej swojej ucieczce, tu ówdzie wyskakiwało na powierzchnię, a nie widząc rodziców, znowu się topiło z piskiem żalonym. Nad niemi unosiło się lęklive stadko rybitew, to w miejscu trzepocąc długimi skrzydłami, to migocąc i krzyżując się w powietrzu, jak śnieżki w zaciętym boju żaków; to wnet na lup spadając, i znowu odskakując od szyby stawu, jak sprężyste piłki od ziemi. A zwinne jaskółki, to jak kule śmigają pomiędzy niemi, to się ślizgały po wierzchu wody, jak kamyk ciśnięty po zwierciadlanej lodu przestrzeni. I cicho było, a gwarno; gwarno a błogo; bo ani swiergotanie czerechy wróbli, ani towarzystwo filharmonijne żabek, podzielone na kilka chórów, brzącających nieprzerwaną koleją, ani bąk hukający poważnie gdzieś tam wśród oczereku, ani smętna kukulka, ani wilga wyświstująca wesoło, ani tembardziej słowik bryzgający perło-

wym deszczem uroczystych dźwięków po gęstwinie zielonej, wcale nie klóciły uroczystej ciszy wieczornej.

Starzec i jego wnuczka szli brzegiem smętara, na pograniczu świata żywych, i świata umarłych, które nie sam mur obwodowy dzielił od siebie. Rzecz dziwna! to samo słońce i tu świeciło, złotą swą kiścią, jakby perłem, magicznym powlekając barwą uroczą, niebiańskim wernixem, wszystkie przedmioty, i to światłem, to cieniem, podnosząc, uwydatniając po mistrzowsku wdzięki krajobrazu; to samo powietrze, tylko świeższe, wonniejsze wśród bzów i jaśminów rozkwitłych, wiało między klombami i szpalerami; ten sam chór ptaszęcy dźwięczał tu pieśnią wiosenną; a jednak tam była jakaś radość dziecinna, jakaś rzeźwość młodzieńcza; tu zamyslenie rzewne, smutek łagodny; tam szelest listków na drzewie brzmiał wdzięcznie, jak cichy szczebiot i śmiechy dziewcząt swawolnych; tu jakby szepty pacierza, jakby westchnienia serdeczne; tam krople rosy na kwieciu świeciły perłowym, brylantowym deszczem; tu drżały łzami cichemi.

— Tak moja doniu, — mówił staruszek — pora ci już do świata; dość tego życia grobowego!

przekwitniesz tu jak ot te róże na mogiłach, których nikt nie wplata do godowego wianka.

— Tem lepiej dla nich — przerwie Anielka z rzewnym uśmiechem — kwitną Niebu i sercom smutnym, niepokalane dotknięciem ręki niegodnej, nie oderwane od gałązki rodzinnej, chyba Bogu na ołtarz, lub duszy czulej na wieczną pamiątkę.

— Pięknieś to rzekła, dziecinko moja droga; ale to rzeczy nie zmienia. Powinnaś ustąpić mej prośbie i naleganiom poczciwej pani Michałowej, co cię macierzyńskim sercem pokochała, co ci rzeczywiście matką jest z ducha, bo rozbudziła go w tobie naukę swoją. Powinnaś przyjąć u niej pomieszkanie, choćby jedynie dla spokoju siwej głowy mojej, która dziś mieć go nie może, ciągle napastowana przez myśl dokuczliwą, żem stary samolub, przykuł cię do grobu, w którym lada chwila już mi się przyjdzie położyć. A w cóż się wtedy obrócisz, doniu moja najmilsza?!

— Dziadku mój najdroższy! — Zawołała Anielka ze łzami w oczach, wiążąc się oburącz do ramienia staruszka, jakby się bojąc aby w samej rzeczy śmierć go jej nie wydarła; — dziadku jedy-ny! na miłość Boga nie mówmy o tem!...

— Owszem, mówmy moje kochanie! bo mi cięży na sercu urocza młodość twoja, wraz z niem

zamknięta w murach smętarnych! Dostę tego! bo Bóg będzie sądził za tę twoją ofiarę!

I wysilony rzewnem wzruszeniem, usiadł starzec na omszonym głazie grobowym pod olbrzymim świerkiem, obok którego przechodził. Anielka padła przy nim na klęczki, i tuląc blade swe liczko do jego kolan, rzewnie płakać zaczęła... Dziadek roztkliwiony, nie czując łez bujnych, płynących mu po twarzy, ze smutnym uśmiechem na białych ustach, dłoń drżącą złożył na wdzięcznej główce dziewczeczki, i głaszcząc ją i pieszcząc, mówił z czułością.

— Ej ty pieszczoszko moja! pieszczoszko! ej ty upartuszko moja kochana! sama nie wiesz czego ci się zachciewa, i ani się domyślasz, co mi gotujesz w tem przywiązaniu swoim!... Otoż wiedz o tem, że ja cię odpędzam, jakby grzeszną pokusę, że boję się ciebie, jakby kary Bożej za moje grzechy, za moje zasłepienie nieszczęsne. Bo śmierć ta, której przez lat sześćdziesiąt darmo wołałem w ciężkiem osieroceniu na mogile całej mojej rodziny, śmierć upragniona tak długo i wyglądana jakby gość najmilszy, od lat kilkunastu co chwila staje mi się straszniejszą. I oto dziad stuletni, prawie już trup chodzący rozpaczliwie się trzymam krawędzi grobu rozwartego, i zgroza! go-

tówbym wieczność całą poświęcić za marny dzień doczesnego istnienia!... Darmo duchy błogosławione, rajaska moja rodzina, w snach i widzeniach z Niebios wyciągają do mnie rączęta, darmo mnie nęca, i wabią do siebie, — tyś mię tu przykuła swoim objęciem, i nie mam mocy oderwać się od ziemi, i cały ten żywot jest mi tylko ciągłym, rozpaczliwym konaniem! Nieraz już nawet wątpię w życie mojego ciała....bo kiedy spojrzę na te sterczące kości, skórą wyżółkłą powleczone, kiedy przypomnę sobie, że przez dni parę pokarmu w ustach nie miałem; to mi się zdawa, że upiór jakiś, co w baśniach pospólstwa z grobu wychodzi, aby się tulać około zrębów rodzinnych i w okna zaglądać do ukochanych swoich... O miejże litość nademną, doniu moja ty złota! puść mię już z tego świata! —

Dziewcze gwałtownie opłotło rączętami nogi staruszka, a rzewne, bolesne, przeciągłe łkanie, jedyną było odpowiedzią. I długa tak chwila minęła, długo tak przetrwali, ona klęcząca, przykuła objęciem do jego kolan, na których kryła zapłakaną twarzyczkę; on z dłońmi opartymi na jej głowce, z twarzą podniesioną ku Niebu, z usty drżącymi cichą modlitwą, z oczyma błagalnych łez pełnemi... Lecz z wolna ucichł płacz biednej

Anielki, ból się ukoił; powstała wstrząsnęła główką, odrzucając bujne kędziory z bladej twarzy czki, rączką drobniuchną zgarnęła je na śnieżną szyjkę, i usiadłszy obok dziadunia, ze łzami jeszcze w oczętach, lecz z dziwną jakąś swobodą w liczku i w głosie, jak ptaszatko po burzy wdzięcznie szczebiotać zaczęła:

— No, dosyć tego, dziadku mój drogi! dość tych kaprysów; proszę mi być grzecznym, a najpierwej dać rączkę na przeprosiny.

I wzięwszy wynędzniałą rękę staruszka, z uniesieniem kilkakroć ją ucałowała.

— A teraz proszę mię słuchać uważnie: dziadek był bardzo niegrzeczny, bardzo nie dobry! nagadał mi niestworzonych rzeczy, nagryzł mię, nadręczył, nie wieciec za co i na co! Bo co to ma do tego, dla czego mnie dziadek chce ztąd wypędzić jak niepotrzebną, że sam się gwałtem do Nieba napiera?...Najprzód, jednemu Bogu wiadomo kto z brzegu, a sam dziaduś ciągle powtarza, że śmierć nie patrzy w zęby... Tożby to była śliczna niespodzianka, gdyby dziadek, mnie ztąd wyprawivszy, cichaczem umknął do raju; a tymczasem u rajskiej bramy wita go wnuczka niziuchnym dygiem! otoby się zawstydził, złapa-

ny na gorącym uczynku! otoby przykro dziadkowi było, że mnie chciał samą porzucić....

Rzewny, łagodny uśmiech poruszył blade usta staruszka: — Ej ty szczebiotko moja najmilsza! gdyby to tak można wziąć ciebie na ręce, skarbie ty mój najdroższy, i puścić się z tohą do raj! O Boże mój, Boże! czegożby mi było potrzeba!...

— Ba! mój dziaduniu, kiedy bóg skarb twój za ciężki! niechaj ci się więc nie zachciewa niepodobnych rzeczy; a proszę słuchać i nie przerywać, bo ja nie prędko skończę moję perorę... Wstydzic się muszę za dziadka, że ja *durna dziewczyna*, jak mię dziadek nazywa, moralizuję dziadka rozumnego; ale cóż robić, kiedy tak potrzeba, bo już wytrzymać dłużej nie można. Otoż wiedz mój dziaduniu, że wszystkie te skargi, że każde twe słowo, to coraz nowy grzech ciężki, nowe bluźnierstwo. Jaż to mam uczyć dziadunia, że bez woli Boga nic się nie dzieje? Na cóż więc na mnie składać, że Bóg dziadka nie wzywa do swojej chwały? Na co mój uścisk serdeczny uważać za jakies ciężkie kajdany, z których i Anioł śmierci nie mocen rozkuć dziadunia? Na co mnie odpędzać, jakby stróża więzienia? Przypuścemy, że ja ustąpię; zkadże ta pewność, że się zaraz

dziadkowi brama niebieska otworzy? A jak na ukaranie za tę niecierpliwość, Pan Bóg ci każe jeszcze drugie tyle żyć tu na ziemi w ciężkiem sieroctwie, co wtedy poczniesz bez twojej wnućki jedynej?... Niech mię więc dziadek darmo nie dręczy swem narzekaniem, niech mi nie dokuczaj, bo kiedyś wybiegnę ot na ten wzgórek, jak skrzydłami machnę rękoma i frunę do Nieba, że się dziadek ani spostrzeże; a wtedy obaczymy co będzie. A kiedy dziadkowi tak bardzo na tamten świat pilno, to szczęśliwa droga ja trzymać nie myślę! bom nie egoistka, i nie mam znowu takiej zarozumiałości, abym sądziła, że ze mną tu lepiej dziadkowi, niż z Aniołami w Niebie; bo choć to i mnie dziaduś zowie Aniołkiem, nie taka ja, jak tamte, a ich tak wiele!... I płakać za dziadkiem nie będę, bo wiem że i z Niebios czuwać będziesz nademną, i że jak tylko zechcę, to jedną modlitewką serdeczną, jedną łzą rzewną, jednym westchnieniem, jedną myślą moją, duszę twą błogosławioną do siebie zwołam i wnet ją uczuję przy sobie w szczęściu i spokoju błogim!... Powiadasz dziadku mój drogi, że cię moja przyszłość kłopoce, że strach ci mię rzucić samą między grobami!... A cóż tu straszniego? sama nie będę bo Bóg i twoja dusza mnie

nie odstąpi; a między grobami, bodaj że czy nie lepiej, jak między ludźmi! Mało znam świata; dla mnie tyle jego, co w oknie; a i w tej odrobinie już tak wiele widzę goryczy, troski, niepokoju, i wszelkiej szkarady, żem wtedy najszczęśliwsza, gdy mnie mur smętarny zupełnie od niego dzieli; gdy żaden głos, prócz natury i Boga do mnie się nie przedziera. Wszak sam dziadunio mówi, że pani Michałowa jest najzacniejsza z niewiast, że dom jej to prawdziwa świątynia cnoty; a przecież i w tej świątyni ilem się napatrzyła i nasłuchała dziwnych i niepojętych dla mnie rzeczy! Ilekroć tam zajrzę, zawsze obok serdecznej radości z oglądania tej drogiej Pani, wynoszę w sercu cierpkie uczucie, w głowie jakąś myśl dokuźliwą, która mi na długo spokój odbiera. Mój Boże! jak tam oni żyć mogą w ciągłym takim zamęcie, wśród tylu nieustannych udręczeń, które zewsząd na nich wpadają, a które sami sobie mnożą, jakby umyślnie! Najbliżsi sercu, goryczą wzajem się poją; jedwabne suknie jak włosienice noszą, chleb biały jedzą jakby z popiołem; powietrzem czystem oddychają jakby płomieniem!... tam zawiść, tam duma, tam żądze nienasycone, tam samolubstwo ohydne!... I na takież to gody chcesz mię dziadku mój drogi, wyprawić

z tego zacisza, gdzie mi tak błogo, tak szczęśliwo!... I tu w prawdzie ludzie przychodzą z światowym bolem i troską i z światowym hałasem; lecz łatwo mi wtedy skryć się w najciemniejszy kącik naszej chatynki; a gdy już minie nawała, gdy tłum gwarliwy odejdzie, jakże to wzniosły i święty widok, gdy na świeżej mogile przyklekną ci tylko, których żal nie zna odmiany, jak te świerki wiecznie zielone, jak nieśmiertelniki nigdy nie uwiedle! Nieraz ci wprawdzie i sama rzewnie się splaczę takimi, lecz jakoś łzy te nie gryzą oczu, boś mię, drogi dziadku, nauczył patrzeć na groby jak na bramę niebieską, a na żal taki, jak na okup Niebu najmilszy za duszę oplakiwaną. To też serce mi rośnie, ilekroć ujrzę, zwłaszcza pod staremi krzyżami, modlących się tutaj przychodniów... Zakradam się pomiędzy krzewy i patrzę na nich ze czcią i uwielbieniem, aż chętką mnie bierze rzucić się im w objęcia, jakby braciom swoim najmilszym! a! bo też zacne to muszą być dusze, co ukochanym swoim tak długo wiary dochowują za grobem!... a jakaż to czysta i wielka miłość ta zagrobowa, to prawdziwe *świętych obcowanie* to serdeczne uczucie, łzami i modlitwą, tylko wyrażone! A gdy odejdą, biegnę na te groby, gdzie się modlili, padam przy

nich na klęczki, a dusza w Niebo się wzbija lotem nieścignionym....o! jakże mi drogie te zacne groby! mam tu ich kilkanaście, strojnych w murawę i kwiecie, które pielęgnuję jakby jakie rajskie ogródki!.. I mamże to wszystko porzucić! toż chyba umrę z tęsknoty!... O dziadku nic już nie mówię, dziadka żałować nie myślę, bo nie dobry, nie grzeczny, bo mnie wypędza jak... jak... nie wiem już kogo...

Tak szczebiotała Anielka, to niby żartując, to niby się unosząc; a dziadek, oparty plecami o drzewo, nieruchomy z rękoma zwieszonymi bezwładnie, z ustami w pół-otwartymi; wpatrzył się w nią jak w tęczę, jak w obraz cudowny, jak w Anioła jasnego, słuchał, słuchał, i o całym świecie zapomniał, i takby wieki przesłuchał, jak ów pielgrzym rajskiej ptaszyny w legendzie.

A gdy skończyła, jakby się ze snu przebudził, wyciągnął ku niej objęcia, i przypadła do piersi zaczął tulić i ścisnąć i drogą jej główkę całować.

Aniołku mój ty jedyny!—wołał drżącym we łkaniu głosem,—już cię nie wypędzam, nie myślę wypędzać! rób jak ci lepiej; gdy tu sobie podobasz; to żyj szczęśliwie!.. ale bo widzisz, doniu moja kochana—podaj no mi rękę i pójdźmy już dalej—i powstawszy, szedł wsparty na ramieniu wnuczki

i tak rzecz prowadził:—Widzisz moja dziecinko, że ciężko mi byź dla ciebie zgorzeniem; bo to zamilowanie w tem życiu smętarnem, przyszło ci z mego przykładu; a to grzech ciężki przed Bogiem i ludzmi! i mój też przykład powinienby cię nauczyć, jaka zań czeka pokuta; bo człek stworzony do społeczeństwa, któremu służyć powinien pracą pocziwą; bo się niegodzi targać na swoje przeznaczenie, bo to znaczy walczyć przeciw Bogu!...

Ślicznie mój dziadku! niechże ci rączki ucałują za te słowa pocziwe, bylebyś tylko sam szedł za swoim zdaniem. Bo najprzód co do służby winnej społeczeństwu: wszakci my oboje i tutaj jemu służymy, może stokroć lepiej i skuteczniej, niż gdybyśmy żyli wśród ludzi; bo ileż to wdzięczności; ile błogosławieństw nas spotyka za tę opiekę nad grobami! a śnać to miłe Bogu, gdy zwłaszcza tobie dziaduniu, sny takie błogie posyła, kiedy w nich duszom błogosławionym dozwala z Niebios z podziękowaniem do ciebie schodzić... A zresztą przypomnij sobie, dziadku, tę księgę cudowną, którą czytujemy co rana: iluż to tam ludzi w życiu pustelniczem zasłużyło sobie wieniec zbawienia! Ot choćby na przykład ten święty Onufry, o którymśmy dzisiaj czytali... mój Boże! jakież to duch potężny! sześćdziesiąt lat z górą w głuchej

pustyni! zupełnie oddzielony od reszty świata, sam tylko z Bogiem, jedną modlitwą i rozmyślaniem wszystkie chwile zapelniał! Jakaż to olbrzymia praca tej duszy byźdź musiała, gdy tak osamotnionej ciało nie owładnęło, nie zezwierzęciało, nie pograżyło w gnuśnej nieczynności i odrętwieniu, lecz owszem samo się uzacniło, gdy mu palma cudowna posiłek, a Anioł Niebieski napój podawał! A śmierć że jego! czyliż nie nowy dowód nieporównanej świętości życia? Anioły go płaczą! Boże mój wielki! możeż byźdź większe uczczenie zasług świętego! toż że to jasny dowód, że niewielu takich chwalców Bożych na ziemi, gdy ci, którzy śmierć znają, jako uroczystą chwilę tryumfu duszy, nad tą lży rzewne ronią, widząc w niej gasnącą najwspanialszą pochodnię niebieskiej chwały śród świata!... Kiedy więc można w pustyni, to można i tutaj służyć Bogu i ludziom.— Co zaś do przeznaczenia, kiedy mi Pan Bóg dał wzrósć na smętarnu, to pewno coś mi tu przeznaczył...

W tej chwili wyszli na ścieżkę wiodącą obok klombu, przy którym przed dwoma tygodniami usypano mogiłę nad ową Anielą, tak podobną do Anieli z smętarny; i mimowolnie się cofnęli, uszanowaniem głębokiem przejęci,—ujrzawszy na grobie klęczącego Leona.

Dziadku mój, szepnęło dziewczę, pójdźmy jeszcze ponad sadzawkę; zagadałam się z tobą i zapomniałam o moich kwiatach na grobach! a tu ani chmurki na niebie, słońce zaszło przesłiznie i na jutro pewna posucha — trzeba koniecznie podlać rezedę i groszek.

— Już chyba sama pójdiesz moja doniu, bo ja więcej nie zdążam, takem się z tobą utuptał i ugadał; biegaj moje złotko, a ja ci z chaty na pomoc wyszlę Ostapa.

---

Powlekl się starowina do dworku, a dziewczeczka jak wryta, jak zaczarowana, w miejscu pozostała, i białe rączęta skrzyżowawszy na pierśiach, falujących chyżem biciem serduszka, oczyma wyteżonemi wpatrzyła się w Leona, klęczącego na grobie, od którego cienisty klomb ją oddzielał. I długą chwilę tak stała, nieruchoma jak posąg, a jak duch lekka i wiotka; a coraz to smutniej bladła jej twarzyczka, coraz to rzewniej spoglądały oczęta, aż wreszcie lży z nich bujne wytrysły, jak perły po rozwiązanej nici tocząc się na ziemię, i jak za perlami rozsypa-nemi padła Anielka w ślad za niemi na klęczki, i usta drżącemi łkaniem tłumionem gorąco mo-



dlić się zaczęła, nie odrywając oczu od Leona, którego ból serdeczny i żalność, niewysłowionem przejmując ją współczuciem, siłą nieprzepartą duszę jej wlekły ku niemu.

Leon, zrazu cały zanurzony w modlitwie, jakby przyrosły do ukochanej mogiły, klęczał bezwładny, łzami tylko i drżeniem ust bladych znak życia dając. Po chwili czegoś się zaniepokoił i wzrokiem oderwanym od nieba rzucił do koła, jakby szukał przyczyny roztargnienia swojego... i coraz to częściej powodził tak oczyma po smętarczy dokola, i coraz to dłużej zatrzymywał je na tym kłębku, poza którym Aniela modliła się ukryta. Jej to bowiem spojrzenie oparowało go wyraźnie, i niepojętym jakimś urokiem oderwało nawet od tej rozkoszy, jaką czuł w modlitewnej rozmowie z duchem swojej kochanki.

Po kilku minutach roztargnienia takiego, raz się wpatrzywszy w kłęb ów cienisty, znów nagle znieruchomiał, osłupiał cały, i zachwyty niebiański rozpromienił twarz jego bladą... Była to chwila w której poza kwietnią zasłoną, ujrzał cudowne lice Anieli i z jej łzawem, litośnem spójrzeniem się spotkał. W pierwszym momencie, roztkliwiona i rozmarzona dusza jego, nie mogąc jawy od niebiańskich swych widzeń od-

różnić, rozradował się wielką radością; ale się rychło w omyłce swojej spostrzegłszy, nie-szczęśliwy młodzieniec, przypomniawszy sobie wnuczkę grabarza, tak dziwnie do kochanki jego podobną, i czując, że to podobieństwo urokiem swym może go pociągnąć do przemieszania względem drogiej zmarłej, jęknął boleśnie, i jakby w przerażeniu najwyższem, z grobu się zerwawszy, rzucił się w głąb' smętarczy między gęste szpalery.

Anielka padła twarzą do ziemi, i głośno płakać zaczęła.

A w tem od dworku zabrzmiała piosnka wesoła, grubym, prostackim nucona głosem, coraz to bardziej zbliżająca się do tego miejsca, gdzie się Anielka modliła:

Did ide, mich nese,  
A u michu mak,  
A na ruci rak!  
Oj mijže ty raczeńku,  
Pobereży maczeńku,  
A ja pidu u chatku  
Pocituju babku  
Dwijczy, tryjczy, raz!

I z blaszaną konewką na rękę, podrygując w takt skocznej nuty, wynurzył się z pomiędzy

kłabów czerstwy, rażny staruszek, w słomianym kapeluszu, w płóciennych szarawarach, w koszuli po wierzchu ich puszczonej, i podpasanej czerwonym pasem, z twarzą rumianą, ożywioną jasnymi, błękitnymi oczyma i dziwnie odbijającą od siwej brody. Swoboda, wesołość i czystość duszy wyraźnie malowały się w obliczu i w całej postaci tego staruszka, który nadbiegłszy nagle w to miejsce, gdzie się modliła Anielka i spostrzegłszy ją na twarz upadła i płacz jej posłyszawszy, zerwał z głowy kapelusz, i wraz z konewką rzuciwszy go na ziemię, ręce załamał i stanął jak skamieniały z wyrazem wielkiego bólu, żalu i wstydu w twarzy, raptem do niepoznania zmienionej.

Aniela z klęczek powstawszy, z twarzyczką łzami zalaną, oczyma zapłakanymi, z łagodnym wyrzutem na dziadusia spojrzęła, który się rzuciwszy przed nią na kolana, złożył ręce błagalnie i z pieściotliwym przymilem w nią się wpatrując, wołał głosem łzawym:

*Panońko! lubońko!* nie patrz tak na mnie, nie gniewaj się na starego warjata! *Bih me!* już więcej nigdy nie będę!... Głupia myśl przyszła i zapomniałem, że panienska tego nie lubi.

— Wstańże już, wstań Ostapie! — odrzekła mu Anielka — Ja się nie gniewam.

Ostap się zerwał, ucałował jej rękę, i wesoło się znowu uśmiechnął.

— Ja się nie gniewam — ciągnęła dalej Anielka, — ale mi trochę przykro, że się tak zapomniaasz, — nie szanujesz świętości tego miejsca, i zakłócasz spokój umarłych. Przypomnij sobie, że i twoja tu żona i córka, a może i nie jeden z krewnych spoczywa.

Staruch zakłopotany, z oczyma spuszczone do ziemi, w głowę się poskrobał, i spoglądając z podelbą na Anielkę, odparł nieśmiało z prostodusznym uśmiechem:

— Niby to oni tam słyszą?! Ja myślę, że choćby i z armaty wystrzelić, to żaden już się nie obudzi.

— Tam słyszą i widzą ztamtąd wszystko! odparło dziewczę, z uroczystą powagą ku Niebiosom wskazując. — Czyż zapomniałeś o cudownej przygodzie twojej biednej Oxany, co trzy noce z kolei dziadka mego prosiła, aby grób jej przyjął w obwód smętarny, aniółów przyprowadzając na świadków niewinności swojej? Czy za

pomniałeś o tylu innych zmarłych, co się mu ciągle w widzeniach jego sennych objawiają?

— Toż ono to tak! prawda! prawda, miła panienko! Ale cóż to szkodzi mojej babinie, że ja tu sobie śpiewam? Jak mnie zobaczy wesółym, jak wesolą piosnkę posłyszysz, to i jej weselaj pewnie tam będzie.

— Nie takich ona pieśni tam słucha! nie takiej wesolości kosztuje...

— Ej *pannonko* serce! choćby jakich słuchała, to ja taki myślę, że niema dla niej piękniejszej i weselszej, nad tę która jej młode lata i rodzinną ziemię przypomni.

— Ależ mój Ostapie! zapominasz też o tem, że mogą być tu i żywi, co z modlitwą i łzami do tych grobów przyszedłszy, wielki żal mieć będą do ciebie za twą piosnkę rubaszną, którą im się modlić i płakać przeszkadzasz.

— Żal? a za co, panienko? czyż to tak miło płakać? a ja myślę, że im mniej łez i smutku, tem lepiej; że i tamtym w niebie milej na naszą radość, niż na płacz patrzeć.

— O nie Ostapie! droga im pamięć nasza!

— Ejże panienko! niby to płacz a pamięć, to wszystko jedno? nibyż to i wesolo pamiętać nie można?

— No; dosyć już tej sprzeczki; pójdźmy do kwiatów. Ostap chwycił konewkę, wdział kapełusz na głowę i poszli żwirowaną ścieżynką wijącą się między grobami...

Stanąwszy u sadzawki, Anielka swemu towarzyszowi kazała zaczerpnąć wody i sama też uczyniła, zdjąwszy mniejszą konewkę, zawieszoną tam na gałęzi.

Chodźmyż najpierwej do grobu *biednej nieznamoj*, — rzekła zmierzając pod rozłożysty jawor, nieopodal stojący.

Tam, na niewielkiej mogiłce z ziemi usypanej, po bokach darnią obrosłej stał prosty krzyżyk drewniany nad taką deską, równie jak on nawpół spróchniałą i mchem szarym okrytą. Ale prześlizczny dziki winograd zielonemi zwojami wkoło go oplatał, ogromny krzak róży stólistnej rozwieszał nad nim uroczę swoje festony, a zamiast sztachtów lilje białe gęstą równianką otaczały skromniuchny ten grobowiec, na którym można było wyczytać niewprawną ręką wyrzeźbiony napis: *tu leży mama* — Anielka ze szczególniejszą troskliwością polala kwiaty, obrała je z listków poźółkłych i popodnosiła sploty winogrodu, które wiatr z ramion krzyża postrzącał. A gdy się tak krzątała,

szepecząc modlitwę w rzewnym zamysleniu, ze łzami w oczach; Ostap tymczasem z twarzą uśmiechniętą, pogodną, rozglądał się do koła, to kręcił, to potrząsał głową, to rozjaśniał czoło, i pomrukiwał sobie:

Hej, hej! Boże mój miły! cóż to się ich tutaj nazbierało! jakby na wesele, czy na dożynki; gdzie spojrzę, to swat, to kum, to krewny... wszyscy znajomi! Ot tam pod tym małym krzyżykiem poczciwy stary Kuźma odpoczywa sobie... smaczno spać musi, boteż i natrudził się biedaczysko! Mało nie sto lat przeżył, a do samej śmierci jak ten wół w pługu pracował!.. A było mu kiedyś i dobrze na świecie; ale jak żona zmarła, jak mu jedynego syna wzięli w rekruty, a drugiego do dworu, tak i po wszystkim! gospodarstwo zmarniało, odebrali mu grunt i chatę, i pasiecznikiem zrobili, a jak nie zdurzał łązić po drabinie za rojami, to na pastucha wzięli; a jak już nie mógł włóczyć nogami, to mu kołowrotu pilnować kazali.... Narypał się nieboraczysko z tym kołowrotem!... Aż raz jedzie Pan w nocy, a Kuźma nie odmyka! *Zaworytny! zaworytny!* krzyczy furman w złości; a zaworytny ani mrumru! Zlął z kozła i sam sobie otworzył, ale zajrzał do budki, żeby staremu

dobrze czuba natrzeć... Złapał za brodę, pociągnął raz i drugi: wstawaj leniuchu! Gdzie tam! nie wstanie! choćby i samego Pana nie posłucha.... I nie wstał... i już chyba na tamtym świecie Panu wrota otworzy... do nieba, czy może i gdzie indziej....

A hen hen, pod tym zielonym krzyżem ze sztachetami, to nasz Omelko... Piękną mu postawili figurę, niema co mówić! i o duszy jego pamiętają, pewnie mu i na tamtym świecie biedy nie będzie; ale taki ja myślę, że lepiej było jeszcze trochę pożyć, bo mu i tutaj niczego nie brakło, wszystkiego miał do syta; a kobieta poczciwa, a dzieci posłuszne i pracowite, i poważanie ludzkie i łaska pańska... czegoż więcej potrzeba?... Ot nie; wszystko porzucił i powędrował serdeczny!... Ej kumież ty mój miły! żebyś choć raz przyszedł na czarkę, a rozpowiedział wszystko dokumentnie, czy tam u was taki naprawdę lepiej? czy na pańszczyznę nie pędzą? i czy ma człowiek ten wieczny odpoczynek, o który się tutaj dla niego modlą?...

A ot tam pod tym krzyżem kamiennym, to Pawluczyczna nieboga... hej, hej, cóż to za kobieta była, Boże kochany! Znałem ją od maleń-

kości, patrzałem jak rosła, a jak wyrosła, to i zaswatać chciałem, bo drugiej takiej dziewczki we wsi nie było! robocza, żwawa, hoża, a taka poczciwa!... ale mnie Pawluk uprzedził; poszła za niego, i całe życie zrobiła mu jakby jaką pieśnią wesolą, albo skazką ucieszną... Śpiewałażbo, śpiewała! ot jak ten słowiczek! Ledwie oczy otworzy, (gdzie przed słońcem, choćby w Piotrówkę!) tylko się pomodli, już śpiewa najpierwej święte pieśni, a potem różne przeróżne, bo umiała tego bez liku; już nie wiem kto ją i uczył; cały dzień śpiewa; a robota w rękę się pali, czy to na *swojem*, czy na *pańskim*. A wszędzie pierwsza z tą pieśnią: czy na weselu, czy na dożynkach, czy choćby w karczmie na tańcu... A jak tańcowała! bywało chłopcy, jak jeszcze była dziewczką, to się zabijali o nią poprostu! Natańcowałem się i ja z nią trochę. Na starość już nie do tańca było, ale pieśni wesołej, i pracy, nie porzuciła do samej śmierci. Na dzień przed skonaniem jeszcze na łóżku siedząc przedła i buraki skrobała... A teraz gdzieś tam na chwałę Panu Bogu śpiewa... Ej kumoż ty moja serdeczna! kumo! żebyś do mnie wyszła, żeby skrzypki zagrały, tobym jeszcze wyskoczył, jak za młodych latek!

A hen pod lipą, pod tym żelaznym krzyżkiem, położył się nasz kował... sam sobie go wykul serdeczny; poczciwa dusza, choć trochę pałkę zalewał. Przez lat czterdzieści jegośmy siekierami rąbali, jego sierpami żęli, i kosami kosili i pługami orali. W każdej naszej pracy, była i jego praca; nawet i grób dla niego, jego rydlami wykopany! Jeden tylko roczek był taki, co nikomu nawet noża nie zaostrzył, inszą robotą zajęty, ale i to było potrzebne. Idę bywało koło jego kuźni... on w fartuchu skórzanym, zakasawszy rękawy powyżej łokci, czarny jak diabeł, wali młotem w rozpalone żelazo, aż kuźnia się trzęsie, a iskry lecą jak deszcz ognisty! — Hej kumie! — krzyknę — pojdźmy na czarkę! — Nie ma czasu chodzić! niech czarka do mnie tu przyjdzie. — To i przyniosę bywało kwaterkę; łupnie jednym łykiem, i nic; i znów młotem wali, aż miło! Dwa lata temu kazali mu kuć konie półkowe; zakul biedaczysko oficerskiego; wzięli go na *koniusznię* i tak nakuli w plecy, wypominając jeszcze jakieś dawne grzechy, że już i nie wrócił więcej do kowadła; postękał tylko ze dwie niedziel i położył się ot tutaj! Wieczny mu pokój...Raz mi się przyśnił. W ogro-

mnej jakiejś kuźni murowanej, niby w kościele, stał przy kowadle, jakby przy ołtarzu, ubrany w białe, jak śnieg, odzienie, podpasany fartuchem ze złotej lamy, i srebrnym młotem kuł na srebrnym kowadle srebrne włócznie i szable, i składał w stos wielki, tak że już prawie całą kuźnię niemi zawalił... Chciałem doń zagadać i spytać się dla kogo tyle tego oręża; ale jakąś wielką trwogą przejęty, ruszyć ustami nie mogłem... Aż w tem od kowadła sypnęły na mnie iskry deszczem ognistym jak raz w same oczy.. krzyknąłem i obudziłem się, nic nie dowiedziawszy.

Tak sobie gawędził staruch poczciwy,— tymczasem zaś Anielka, skończywszy swoją robotę przy grobie *biednej nieznanjomej*, skinęła nań i kazała znowu wody naczepać, a polawszy i oczyściwszy jeszcze kilka mogilek, bardzo ubogiemi, albo żadnemi nie ozdobionych pomnikami, rzekła nareszcie:

— A teraz pójdźmy do twej Oxany.

Ostap skwapliwie rzucił się z konewkami po wodę, i napelniwszy je, podążył wesoło za Anielką. Przeszedłszy kilka set kroków, stanęli przy samym murze obwodowym, który w tem miej-

scu wyraźnie był świeżo przerobionym i tworzył jakby alkowę, gdzie się wznosiła wysoka, darnią wyłożona mogiłka, maluczkiem drewnianym uwieńczona krzyżykiem. Chmiel gęstemi splotami wyścielał całą alkowę, pachnący groszek krzyżyk oplatał tuląc się popod krzakiem sawiny; ruta i rezeda okrywały grobowiec, jakby jednolitym kobiercem.

Ostap przyklęknął, przeżegnał się z westchnieniem, ucałował grobowiec i w uroczystem milczeniu sam polał krzewy i kwiaty, a wraz z kropkami wody i kilka łez na nie upadło. Otarł ich ślad z oczu starzec z pośpiechem, rychło rozpogodził oblicze, bo na Anielkę spojrzawszy, snąc przypomniał to co mówił przed chwilą: niby to wesoło pamiętać nie można; i rzekł uśmiechnięty:

— Ot i ja głupi, z przeproszeniem! płacze nie wiedzieć czego!... *Odeszła*... no toż i wszyscy kiedyś pójdziemy; a jak się miała sponiewierać na świecie, to i lepiej że skończyła za młodu!.. Teraz czegoż jej trzeba? leży sobie tutaj jak w raj! kwiatki nad nią rosną i ptaszęta śpiewają, a ty droga panienko mogiłki jej pilnujesz! czyż to nie szczęście?! Tylko to bieda, że Bóg

jej śmierć dał taką okropną! żeby nie to, toby mi tutaj najweselej było pieśni swoje śpiewać! daleko od innych grobów, nikomu bym w niczem nie przeszkodził... Ale jak sobie przypomnę!.. Ha!..

Machnął rękoma, westchnął, spuścił głowę ku ziemi i zanócił półgłosem:

Wijut witry, wijut bujny,  
Aż derewła hnut?—sia,  
Oh jak ciężko byłyt serce  
. A slozy ne ljut sia!

— Ostapie! — zawołała Anielka z lekkim wyrzutem, — czy znowu?

Wybacz serdeczna panienko! wybacz staremu — odparł Ostap, błagalnie ręce składając, — taka to już moja głupia natura, że czy wesoło, czy smutno, to gwałtem śpiewać chce się! u mnie tak już od najmłodszej młodości śmiechem i płaczem — piosenka!

— No, dosyć już! pójdźmy do domu; — rzekła Anielka i ruszyła ścieżką ku dworkowi wiodącą, a w ślad za nią i Ostap, znów już wesoły, prawie uśmiechnięty, zcicha poświstując jakąś skoczną nutę i konewkami w takt jej machając.

Tymczasem Leon, uciekły z grobu kochanki przed opanowującym go czasem tego podobieństwa dziwnego, niepojętego, jakie między zmarłą a żywą Anielą znajdował, długo się błąkał między smętnymi kłębami, rady dać swoim myślom i uczuciom nie mogąc. Miłość jego dla zmarłej była tak wielką i świętą, że niepodobna było przypuścić, aby kiedykolwiek w sercu jego zatrzeć się miała, a tembardziej aby jej miejsce inna zajęła; a jednak biedne to serce, ta żalobna świątynia, w której oprócz trumny kochanki, niktby więcej postać nie powinien, mimowoli i wiedzy wstęp dała do siebie żywej istocie; a dusza, co nie pragnęła innej pociechy, i większego szczęścia, nad ciągłą z duchem ukochanej rozmowę, nad ciągle o niej rozmyślanie, zatroskała się i zatrwożyła na widok tego cudownego zjawiska, które jak pokusa przed nią stanęło, straszne urokiem swego podobieństwa do zmarłej! Nie mógł o niej nie myśleć, nie mógł nie pragnąć jego oglądania, jak nie mógłby sobie dobrowolnie odmówić patrzenia się na portret swojej kochanki... Ale ten portret był żywy, a zbolełe serce Leona, chwilami wpadając jakby w obłęd jakiś szaleńczy, zdać sobie

sprawy nie mogło ze swoich wrażeń; nieraz zdawało mu się, że śmierć kochanki była snem jakimś strasznym, gorączkowym marzeniem; że ta istota urocza, po smętarzu się błakająca, jest w samej rzeczy jego Aniela żywą, w nierozważnej igraszcze chcącej wypróbować jego przywiązania... i gotów byłby rozkopać jej mogiłę i zerwać wieko trumienne, aby się wreszcie całej prawdy dowiedzieć. Ale z zimną rozwagą, zastanowiwszy się nad wszystkim i opanowawszy myśli rozigrane, widział w tem tylko dziwne Boskie zrządzenie, wierzył w śmierć jednej i w życie drugiej Anieli, i powtarzał sobie stanowczo, że chcąc dochować wiary swojej kochance, musi o jej grobie zapomnieć; bo czuł to dobrze, że spotykając się przy nim z tą *drugą* co się tak nadzwyczajnie w duszy jego z *pierwszą* zmieszała, wreszcie ich nie potrafi rozróżnić i w tej żywej zmarłą jak zmartwychwstałą ukocha.

Udręczony temi myślami, kilkakroć już zwracał ku bramie smętarnej, kilkakroć postanawiał, wzięwszy garść piasku z grobu Anielki, pożegnać go nazawsze, aby się z tą *drugą* więcej nie spotkać; ale tuląc na sercu ziemię wziętą z mogiły kochanki, nie mógł się oprzeć chęci gorącej spój-

rzenia raz jeszcze na jej cudowny sobowtór i mimowolnie zwrócił się w tę stronę z kąd go dolatał wdzięczny głos Anieli, rozmawiającej z Ostapem. Niechcąc wszakże nastęrczać się jej oczom, starał się ukrywać między kłębami i niepostrzeżony, lekko stąpając i oddech w piersiach wstrzymując, jak widmo przemykał się z ulicy w ulicę, wzrokiem zachwyconym ścigając postać Anieli. I widział ją polewającą kwiaty na grobach, i oczu od niej oderwać nie mógł, tyle to zajęcie rzewne przydało wdzięku i powabu podobieństwu jego kochanki! A gdy zwróciła się wreszcie ku dworcowi, to i on, jakby cień, za nią podążył, i doprowadził rozmiłowanem spójrzaniem aż do samego progu. A gdy się już drzwi za nią zamknęły, wtedy chwilę jeszcze przestawszy zapatrzony, poszedł znowu na grób swojej kochanki, i padłszy na nim twarzą do ziemi do późna w noc modlił się i płakał rzewnie, póki nie nadszedł ów doktor, przyjaciel jego, i nie uprowadził go z sobą.

---

Nazajutrz pomimo najuroczystszych w duszy postanowień, Leon się znowu modlił na grobie Anieli, i dnia następnego to samo, i przez cały tydzień dzień w dzień tam się znajdował; a nie-



raz to i od rana do wieczora na smętarzu przesiedział, bo na mogile jego kochanki wspaniały pomnik ojciec stawiać kazał, a przyglądanie się tej robocie, jakiś dziwny urok dla osierociałego kochanka miało.

Wnuczka grabarza codziennie spotkać się z nim musiała; bo przez cały ten czas nieustanna trwała posucha i kwiatki na grobach koniecznie wypadalo polewać, a z dworku do sadzawki nie można było grobu Anieli obejść zdaleka. Pocziwe dziewczę zawsze z wielkiem współczuciem na biednego młodzieńca spoglądało, z wielką czcią o tym jego żalu myślało, i modliło się codzien gorąco, jeśli nie o pociechę, to przynajmniej o jakąkolwiek ulgę dla niego. I serce to czyste, dziecięce, powoli tak przywykło do tych rzewnych swych uczuć i do widoku tego człowieka, który je w niem obudzał, że gdy czasami opóźnił się nieco z swym przybyciem, i gdy o zwykłej porze Anielka, biegnąc kwiatki polewać, nie znajdowała go na mogile, to już jakaś tęsknota i niepokój ją przejmowały, ciężar jakiś wielki duszę przygniatał, i szła nieboga na grób owej biednej nieznamomej, z napisem *tu leży mama*, a padłszy tam na kłęczki, rzewnemi zalewała się łzami, modląc się gorąco.

Grób ten tajemniczy, był dla niej zawsze najdroższym, zawsze go z najczulszą pielegnowała troskliwością, bo napis wyryty na nim, był dla niej pełnym treści olbrzymiej, całym poematem uroczym! Ten prosty krzyżyk drewniany, niezgrabny, ta deska ledwie ociosana; te na niej litery koszlawe, wszystko to się razem składało na pomnik tak wymowny, jakiego nętylko na tym, ale pewno na żadnym w świecie smętarzu byś nie znalazł. *Tu leży mama!* podobnaż było wątpić, że ten napis nie kto inny tam wyrzył, jak biedne jakieś dziecic osierociałe, które w żalu swoim serdecznym ani przypuszczało, że tę drogą mogilę można wymowniejszem i zrozumialszem naznaczyć imieniem, nad to jedno „Mama!...“ a może i nie znało innego... A jakież to straszne musiało bydz sieroctwo i opuszczenie, kiedy nawet nie było komu uczynić zadość sercu dziecięcia i dopomódz mu do upamiętnienia macierzyńskiego grobu!...

Dziadek Anielki, który znał najdokładniej dzieje wszystkich mogil swego smętarza, o tej tylko jednej nic pewnego nie wiedział. Powstała ona wtedy, kiedy staruszek kilka dni leżał w ciężkiej niemocy. Wyzdrowiawszy starał się wprawdzie dowiedziec od proboszcza, kogo tam pogrzebano; ale i proboszcz niewiele był świadomszym od nie-

go w tym względzie. Powiedział tylko, że nieboszczkę znaleziono zmarłą wśród pola, a przy niej płaczącego chłopczykę, może lat ośmiu, który tyle tylko wiedział o sobie, że Lolo na imię, a zresztą nic więcej dopytać się odeń nie można było, nawet imienia jego rodziców. Snać była w tem jakaś tajemnica, o której mu zakazano powiadać.— To też nie badając go wcale, zmarłą pogrzebiono po chrześcijańsku, a malec, którego proboszcz wziął był pod swą opiekę, nazajutrz poszedłszy odwiedzić grób matki, już więcej nie wrócił i po dziś dzień przepadł bez żadnej wieści.

Stary grabarz, ujrawszy na desce położonej na tej mogile niewyraźny napis, słabą rączką przy pomocy ćwieka, czy krzemika wyryty, *tu leży mama*, rozrzewniony tem wielce, głębiej go dłużej wyżyłobił, i biedną tę mogilkę, obsadziwszy krzewami i kwieciami zasiawszy, wziął pod wyłączną swoją opiekę, w czem mu później Anielka wiernie dopomagała, polubiwszy grób ten nad inne, jakem już wyżej o tem napomknął. Oprócz bowiem poetyczności historii jego i napisu, ten wyraz *mama* cudowny urok dla niej w sobie zawierał. I ona była sierotą, i ona nie znała imienia swoich rodziców, których oblicza nigdy nie oglądała; i gorzej jeszcze, bo nawet nie wiedziała,

gdzie ich mogiły szukać; a dziadek tyle jej tylko powiedział, że na tym smętarzu jej niema. Mogiłę więc *biednej nieznanomej* serce jej sieroce obrało sobie niejako za wizerunek grobu swej własnej matki, i modląc się za tę nieszczęśliwą *mamę*, w myśli ją łączyła z duszą swojej rodzonej.

Ale od czasu, jak Leon zaczął smętarz odwiedzać, jak swoim bólem i żalem zatrwożył spokój duszy jej czystej, jak oczy jego ciągle łez pełne, i lice jego złamane męką serdeczną, odbiły się w głębi jej serca tak mocno, że dniem i nocą już żen nie ustępowały; biedna dziewczeczka, pomimo całej miłości drogiego dziadka swojego, nie wiem czemu tem ciężiej uczuła swoje sieroctwo i najwyższą tęsknotą zatęskniło do mateczki swojej nigdy nie znanej, i coraz to częściej chodzić zaczęła na grób swej *mamy* zmarłej wśród pola, aby się tam ze swoich smutków i tęsknicy spowiadać.

Dziadek, choć staremi oczyma, dostrzegł zmiany w drogiej swojej Anielce, i bardzo się zatroskał tem niespodzianem odkryciem, zatroskał się i zatrwożył okropnie, bo nie trudno mu było domysleć się przyczyny jej łez i niepokoju z których sama zdać sobie sprawy nie mogła w czystości duszy swojej dziecięcej. Nie trudno, powiadam, bo od jakiegoś czasu nie było dla niej mil-

szej rozmowy, nie było prawie innej, jak ubolewanie nad tym nieszczęśliwym młodzieńcem, który się przykuł do grobu kochanki swojej, i tak wielkim bolem po niej boleje!...

Wyrażnem więc było, że w sercu Anielki, mimo woli i wiedzy zrodziło się uczucie, które gdy wzrośnie, może stać się przyczyną największego dla niej nieszczęścia. Bo trudno przypuścić, aby ten, kto tak wielką stratę oplakuje tak rzetelnie, mógł się tak rychło kim innym zająć, a gdyby się i zajął, to czyż podobna, aby połączyć się zechciał z dziewczęciem biednym, nieznanem, prostem, on, człek z towarzystwa wyższego i pewnie nie bez jakiegokolwiek fortuny?

Długo biedny staruch nie wiedział co począć w tej swojej trosce, wreszcie postanowił raz jeszcze prosić Anielkę, aby opuściwszy domek smętarny, przeniosła się do pani Michałowej; lecz wnuczka ani mówić sobie o tem nie dała, i na samą wzmiankę rozłąki z dziadkiem, takim wybuchła płaczem, że ten przerażony jej tak wielką żalnością, musiał ją przeprosić najtkliwszą pieszczotą i zaklęciem najświętszem, że już nigdy więcej z niczem podobnem przed nią się nie odezwie.

Opór ten, taki rozpaczny, jeszcze mocniej utwierdził w starcu jego domysły; zaczął więc

najtroskliwiej czuwać nad swoją wnuczką: unikał z nią rozmowy o Leonie a ilekroć ujrzał go na smętarzu, starał się jakimkolwiek sposobem w domu ją utrzymać, żeby go nie widziała. Lecz wszystkie te wybiegi były daremne; Anielka codzień wspominała Leona, Leon nigdy nie odszedł, póki jej nie zobaczył.

Aż wreszcie dziadek znużony tą walką, postanowił raz ją zakończyć, otwarcie z Leonem się rozmówiwszy. Dnia więc pewnego, gdy Leon po modlitwie, usiadł na podstawie pomnika już skończonego, i myślą po za światem, oczy nieruchome utkwil w ścieżynkę, którą Anielka zwykle chodziła do grobu *biednej nieznanomej*; starzec zabawiwszy swą wnuczkę w domu jakąś robotą, sam, wezwawszy Boga na pomoc, z sercem ściśniętem smutkiem i niepokojem, powlekl się o kiju na ciężką, lecz konieczną rozmowę.

Zbliżywszy się do Leona, który nadejścia jego nie spostrzegł w zamysleniu i zapatrzeniu się swoim, położył na ramieniu jego rękę kościstą, wysehłą, i rzekł uroczyście: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Młodzian który snił rajskie widmo swojej kochanki, wyglądając zjawienia się żywego jej wizerunku, nagle zbudzony, oczy podniósłszy i uj-

rzawszy przed sobą tę wynędzniałą, wyniosłą postać starca, z twarzą pożółkłą, pokrajaną zmarszczkami, z włosami śnieżnej białości, z oczyma zapadłemi głęboko, z surowem i ponurem wejrzeniem, drgnął przerażony, jak na widok upióra, i w tył się rzuciwszy, wzrokiem oblakającym, bezmyślnym, w grabarza się wpatrywał.

— Nie lękaj się Waszmość!— rzekł starzec— jeschcem nie upiór; a jeżeli wstręt i zgrozę w tobie obudzam, to wiedz, że w straszdyłło takie zmieniło mię to życie smętarne, w którem rozmiłowałem się namiętnie.—I ja niegdyś byłem, jak ty, młody i hoży, i mnie jak ciebie, żal nieumiarkowany przykuł do drogich grobów; strzeż się więc, abys jak ja nie skończył, abys, jak ja, za grzech swój ciężki, strasznej kary Bożej na się nie ściągnął!

— Grzechem że jest modlić się i płakać po ukochanych zmarłych, i żalem serdecznym pamiętać ich święcić?—zapytał Leon oprzytomniawszy.

— I jam za grzech tego niegdyś nie poczytał, i przed laty ośmdziesięciu, gdy Bóg w dniu jednym, zabrał mi całą moję rodzinę, całe szczęście na ziemi; ja zamiast z pokorą wziąć krzyż swój na męzkie jeszcze ramiona, i Bogu zmarłych zleciwszy, szukać pośród żywych serc bra-

tnich i pola zasługi, a obcując duszą w niebiesiach z ukochanymi, mieć w nich przyczynców u niego, by mi dał prędzej odbyć tu służbę bliżnim powinna i prędzej wezwał do siebie na odpoczynek tam z nimi; zbuntowałem się przeciw Woli Najwyższej; w grobie z istotami drogiemi zamknąłem świat cały, duszą przyrosłem do ich mogiły i przemocą wdarłem się na inne ścieżki, niż te przez które Opatrzność mię wiodła; znalazłem tam szczęście, gdzie go Bóg dla mnie nie złożył. Rozmiłowałem się w moim smętartzu, stworzyłem w nim świat nowy, zabrałem dziwne jakies stosunki z krainą umarłych, i rzekłem że żywi niepotrzebni mi wcale... Zrazu pragnąłem śmierci; szukałem jej namiętnie; a zem nie został samobójcą, to nie z własnej woli; bo tyle tylko, zem własnej ręki z nożem lub strzelbą nie zwrócił na siebie, zem sobie kamienia nie uwiązał do szyi i w wodę nie skoczył, albo się stryczkiem nie zadławił; lecz wyzywałem śmierć zuchwale wszelkiemi środkami, i sam Bóg tylko, niezbadany w wyrokach swoich, cudem swym od niej mię uchronił... Nareszcie zobojętniałem zupełnie, i jedno mi było, żyć lub umierać; między grobami, było mi dobrze jak w grobie; z trumny łoże sobie zrobiłem, w którym

legam do dziś dnia, wstając z niego jak upiór, aby się tulać ot po tym smętarzu... Ale od lat dwudziestu cierpię tu męki czyscowe; bo śmierć której dawniej pragnąłem i szukałem, od tego czasu stała się dla mnie tak straszną, jak dawniej było życie, a życie tak pożądane, jak dawniej śmierć! Teraz więc już nie pytam, czy grzechem jest tak modlić się i płakać po ukochanych zmarłych; bo kara ta ciężka, jaką lat dwadzieścia ponoszę, już mi w tym względzie żadnej wątpliwości nie pozostawia.—Święć pamięć drogiej twej zmarłej modlitwą i płaczem, lecz w płacz i modlitwę nie zmieniaj całego życia twego, i nie składaj w jej grobie szacownych sił twej młodości, bo ciężki zdasz z nich Panu Bogu rachunek. A gdy masz w niebie duszę ukochaną, która już własnemu ciału nie potrzebna, to staraj się z nią swoją duszą połączyć, wszystkie jej siły i cnoty obróć na swoje dobro, podwój ducha swojego, bądź dwakroć lepszym, zacniejszym, bądź dwakroć pożyteczniejszym ludziom i Bogu.

— Wszystko to piękne co mówisz, ojciec mój dobry, odparł Leon że smutkiem, — ale nie tak to łatwo pójść za piękną radą z sercem bolejącem, jak łatwo dać tę radę ból swój odbolawszy.

— Odbolawszy?! — rzekł starze z gorzkim uśmiechem, odbolawszy!!... posłuchaj, a może potem ci łatwiej będzie pójść za piękną radą.

Usiadł na stopniach pomnika obok Leona, oparł ręce na kiju, brodę na rękę, i wzrok ponury w ziemię nieruchomie utkwivszy, tak opowiadał:

— Lat temu sześćdziesiąt, byłem w twoim wieku, miałem żonę piękną i dobrą jak Anioł, ukochańszą mi pewno niż tobie twoja Anielka, bo oprócz miłości, dała mi dwoje dzieci, aniołków do niej podobnych, i potroiła przez nie w sercu mem to uczucie, które już i pojedynczo wystarcza do uszczęśliwienia człowieka. Byłem więc szczęśny w trójnasób, i świat cały mógł mi mojego szczęścia pozazdrościć, bo oprócz tego raj w życiu domowem, i byt materialny miałem godny zazdrości: całe to miasteczko, a z niem jeszcze dwie wioski rozległe, do mnie należały; a tak przez tę zamożność, jak przez znaczenie mojego rodu i wartość osobistą, miałem otwarte pole do zasług publicznych w najświetniejszym zawodzie, który nawet rozpocząłem dość chlubnie... Ale jedna czarna godzina wszystko to pochłonęła!... W Szarogrodzie wykopano jakieś sprzęty zadżumione i straszliwa plaga rozeszła się od

nich w całej okolicy. Ja najściślejszą kwarantanną otoczyłem całe swoje miasteczko, wkolo na wiorst parę porozstawiałem strażę z najsurowszym rozkazem, aby bez litości każdemu w łeb strzelano, ktoby się poważył kordon przekroczyć, i zdawało mi się żem już bezpieczny. Niestety! w moim własnym domu, na mojem ukochanem dziecięciu, najpierwej okazał Bóg bezskuteczność wszelkich ludzkich środków!... Padło, zabite morowem powietrzem!... Dwór nasz calutki, przerażony tym okropnym wypadkiem, pierzchnął w popłochu, uciekając od nas, prawdziwie jak od zapowietrzonych; my zaś i sami, bojąc się by zaraza z domu naszego dalej się nie rozszła, nie śmieliśmy nawet wzywać kapłana, aby dziecińkę naszą pogrzebał, nie śmieliśmy wywozić jej na smętarz, a nie już do stracenia względem siebie nie mając, oboje z żoną, własnemi rękoma dół w tym ogrodzie wykopawszy głęboki, na własnych rękę zamieśliśmy tam skarb nasz najdroższy, zamiast wody święconej, łzami go poświęciwszy gorzkiemi!... Mamże powiadać, jak rozpaczliwe było położenie nasze?... Z drobnem dziecięciem we troje zamknięci w pustym dworze ogromnym, sami nie wiedząc co z sobą począć i gdzie się obrócić, przygnębieni żalem

i trwogą najwyższą, niemi, bezmyślni, ślanialiśmy się jak widma z miejsca na miejsce, z rękoma załamanemi rozpacznie, z twarzą wybladłą, z oczyma płonącemi ogniem gorączkowym; albo długie godziny trwali na klęczkach, nie usty, nie myślą, nawet, lecz tylko widokiem swojej boleści Bogu się modląc; albo tuliliśmy w objęciach pozostałą dziecinkę, jakby chcąc ją ukryć od śmierci; albo padłszy sobie w ramiona, wiązaliśmy się rzewnym uściskiem, jakby się bojąc aby nas pojedynczo śmierć nie zabrała... Niestety, darmo! raz tak objawszy najdroższą moję Juzię, po kilku chwilach trupa już tylko do mego łona garnąłem! Odrętwiały z bolu i żalu, podobniejszy do automatu, niż do żyjącej istoty, znów rydel wziąłem i przy mogiłce mego dziecięcia grób wykopawszy dla jego matki, zaniósłem ją tam na wiekuiście spoczynek... Ach jakże byłbym szczęśliwy, gdybym z nią razem i sam mógł się zagrzebać! o! i pewno jużbym się z tamtąd krokiem nie ruszył, gdyby nie myśl o pozostałym dziecięciu, dla którego żyć jeszcze powinien byłem. Ach jakże ciężki był to obowiązek! wyobraź sobie, jakie było moje położenie, gdy dziecic z płaczem jeść wołać zaczęło, a w całym domu, ani kropli mleka, ani kasiołka chleba nie było!? Dałem mu

cukru i bakalji i dzban wody przyniosłem, i poszedłem pootwierać wrota we wszystkich gospodarskich budynkach, gdzie jakiegokolwiek żywe stworzenie zamknięte było; bo wszystko to od ucieczki sług, nie dojrżane, i nie nakarmione, żalobny lament podniosło, rykiem, rżeniem, kwileniem i wyciem, domagając się ludzkiej opieki. Uwolnione z zamknięcia, wszystko się rozbiegło szukać sobie żeru po świecie; psy tylko powróciły niebawem, wlekąc krwawe szczątki człowieka, co mię nauczyło, że już w miasteczku same tylko trupy niepogrzebane się walają. Mamże się rozwodzić nad okropnością tego wszystkiego? mamże wyszukiwać wyrazów, któremiby doś silnie położenie ci moje odmalował? Możeż byż co jeszcze straszliwszego nad to wyrzeczenie najprostsze, że wkrótce ostatnie me dziecko w ziemi zagrzebałem, i w całym dworze, w całym miasteczku, pozostałem sam jeden, otoczony tylko zgrają psów rozbestwionych, włóczących ludzkie ciało po ulicach...Wziąłem obuszek w ręce i z końca w koniec przeszedłem całą osadę, i nigdzie ani żywej duszy nie znalazłem; wszyscy się rozbiegli, porzuciwszy tylko kilkadziesiąt trupów, którym nie było komu oddać ostatniej posługi, i które stać się miały pastwą psów zgłodniałych.

Ja tylko jeden uciekać nie miałem ani woli, ani mocy, i śmierć, która się mnie wyrzekła wyzywając zuchwale, narzucałem się jej natrętnie. Wziąłem wóz, jaki mi wpadł pod ręce, naładowałem go trupami i zawlekłem do mojego ogrodu, gdzie wykopawszy fossę głęboką, z modlitwą pogrzebłem ciała chrześcijańskie. Nazajutrz to samo; i tak kilka dni z rzędu, póki wszystkich trupów z miasteczka nie zabrałem. A skończywszy tę moją pracę, nie powiem pobożną, lecz desperacką, siadłem na grobie drogiej mojej rodziny i postanowiłem głodem się zamorzyć. Parę dni przeszło, ja nic w usta nie wziąłem, nie schodząc z ukochanej mogiły... ale nareszcie instynkt zwierzęcy wziął górę nad ludzką wolą; nieopodal stała jabłoń owocami dojrzałymi okryta; jedno jabłko stoczyło mi się pod nogi; wziąłem je bezmyślnie i machinalnie do ust podniosłem. Potem zawlekłem się do domu, roznieciłem ogień w kominie i jakąś ciepłą strawę sobie zgotowałem; a tak zaspokoiwszy zwierza, człowiek znów umrzeć chciałem i znów na grób poszedłszy, trzy doby na nim nieodstępnie spędziłem, dopóki znówu zwierz człowieka nie przemógł. Śród takiej walki przeszło mi ze trzy tygodnie... Snać w okolicy zaraza już ucichła, bo powoli miasteczko

zaczęło się ludzkimi głosami ożywiać, a wreszcie jednego rana i dzwon się kościelny ozwał. Ten dzielniej nad wszelki pokarm w jednej chwili ożywił; porwałem się z mogiły, na której jak trup rozciągnięty leżałem, i upadłszy na kłęczki twarzą do ziemi, płakać i modlić się głośno zacząłem; a serce dotąd w wielkim bólu zamarłe, zwolna się rozruszało w takt dzwonu, i krew, zakrzepła w żyłach, zagrała w nich na nowo ... Dzwon ucichł, powstałem i do kościoła poszedłem. Tam zebrana gromadka wiernych z swoim kapłanem na modlitwie dziękczynnej, ujrawszy mnie z wielkiem zdumieniem, jakby przybyłca z tamtego świata, po nabożeństwie otoczyła mnie kółkiem ciekawem i ze współczuciem najżywszem opowiadania mego słuchała, łzami rzewnymi święcąc pamięć mojej rodziny, litując się mego nieszczęścia, i dziękując za chrześcijańską posługę, współbraciom i krewnym ich oddaną, — oraz się zdumiewając nad cudownością wyroków Bożych, których zrzędzeniem sam jeden ocalałem śród morowej zarazy. Ja w smutku głębokim, z rozrzewnieniem uściskawszy ich wszystkich, zaprosiłem całą gromadkę wraz z kapłanem do mojego ogrodu, aby się pomodlili na nowych grobach, i zrosili je wodą święconą i łzami. Cóż to za rzewny, co za

uroczysty był widok, kiedy się wszyscy rzucili tu na kłęczki obok kapłana, przybranego w szaty żałobne, i kiedy z piersi łkaniem drgających zabrzmiał Anioł Pański za spokój zmarłych!... Po modlitwie wezwałem gości moich do pracy i wspólnymi siłami usypaliśmy cztery te ogromne mogiły, które oto tam widzisz. Jedna z nich, z tym marmurowym pomnikiem na szczycie, pod świerkami, jest grobem mej rodziny, a obok niej trzy z wielkimi kamiennymi krzyżami, ponad którymi rozrosły się sosny wspaniałe, mieszczą zwłoki dawnych mieszkańców tego miasteczka, pogrzebane przezemie. Wkrótce poschodzili się do mnie niedobitki moich sług dawnych, u nóg mych żebrać przebaczenia za swą ucieczkę podczas zarazy i prosząc o przyjęcie znowu do dworu. Przebaczyłem im z serca, bo gniewać się nie było za co, ale już służby dać im nie mogłem, bom jej nie potrzebował, zupełnie inny plan życia sobie ułożywszy. Wystarałem się wkrótce u wyższej duchownej władzy o poświęcenie mego ogrodu na smętarz parafialny, dworzec swój obróciłem w kaplicę, a sam zamieszkałem ot w tej oficynie, postanowiwszy na całe życie zostać stróżem grobu mojej rodziny i za grabarza parafii swojej służyć. Dowiedziawszy się o tem



moi przyjaciele i krewni, zbiegli się do mnie z wielkiem zgorszeniem i z perswazjami różnemi, pragnąc jakimkolwiek sposobem odwieść mię od desperackiego postanowienia, alem się niczem w zamiarach moich zachwiać im nie dał. Dobra swe w części darowałem rodzinie, w części rozdałem na fundacje pobożne, i wyrzekłszy się świata i jego marności, zamknąłem się w murach smętarnych, sam z tą wielką boleścią serca mojego. I dobrze mi było, błogo, rozkosznie! Dni całe w rozmyśleniu albo w modlitwie na grobie ukochanych moich, słota tylko, lub wielkim chłodem, albo potrzebą wykopania komuś nowej mogiły i służbą przy pogrzebie, odeń odrywany, przeżyłem tu lat sześćdziesiąt, coraz się bardziej rozmiłowując w nowym trybie mojego życia, nie wiele już nawet tęskniąc do śmierci i do lepszego świata; bo obcując ciągle tylko z grobami, cudownym jakimś sposobem, wyrobiłem nową władzę w swojej duszy, zawiązałem dla niej stosunki z krainą zmarłych, którzy w snach i widzeniach nieraz do niej zstępują, aby mi się spowiadać ze swego bytu na ziemi, prosić o modlitwę, jałmużnę i różne expjacyjne ofiary, albo o opiekę dla swoich grobów. Takim więc sposobem w tym wielkim grodzie umarłych, którego

mieszkańcom sam tu rozdałem kwatery, pośród tej uroczystej ciszy smętarniej, żyję jakby wśród żywych, najlepszych moich znajomych, i stary sierota, odludek, mam przyjaciół kochanych i rodzinę najdroższą, którzy z Niebios do mnie tu schodzą, na święte z duszą moją biesiady.

— O Boże mój drogi! — wykrzyknął Leon w zachwycie, — cóż to za szczęście! co za rozkosz niewysłowiona!! I pan mnie straszysz! i pan mnie ztąd chcesz wypędzić?! O, na miłość Boga, nie bądźże tak zazdrośnym! Dozwól i mnie radości takiej kosztować, weź mnie za swego sługę, za pomocnika; a jeśli ci sędzono poprzedzić mię w Niebieskiej chwale, zrób mię swoim dzieckiem na tym smętarniu, w którym takie rajskie życie znalazłeś!...

— Szaleńcze! — zawołał starzec ze zgrozą, — co ci się marzy?! czego się domagasz?!.. posłuchaj końca! Przeżywszy tak lat sześćdziesiąt, wyrzekłszy się najświętszych obowiązków względem mojej ojczyzny, którą w tym czasie takie burze miotaly, i którejby nie raz moje dzielne ramie, moja fortuna, moja rada pocziwa, bardzo się przydały; ze spokojnem sumieniem używałem grzesznego szczęścia swojego, życiem nie przykrząc, śmierci się nie bojąc i wyglądając jej spo-

kojnie, a czasem i z tęsknotą. Aż raz, dwadzieścia lat temu, o świcie przyszedłszy się modlić na grobie mojej rodziny, znalazłem na jej stopniach niemowlę, w cieniuchne zawinięte pieluszki, w ozdobnej kolebeczce uspięne... Zdumiony, zrazu sam nie wiedziałem co począć i stałam w osłupieniu, wpatrując się ciekawie w anielską dziecineczki twarzyczkę. A w tem niemowlę się ociekło i zakwiliło żałością, jakby się litości mojej domagając. Nie było innej rady, musiałem wziąć je do izby i o mamce pomyśleć. Posłałem stróża do miasteczka, a sam tymczasem na własnych rękach kołysałem dzieciątko, aby je w płaczu utulić. I dziwne uczucie nappełniło mi duszę, bo kwilenie jego rzewliwe u mego łona, przypominało mi czasy dawno ubiegłe, w których tak własne moje skarby najdroższe pieściłem z czułością niewysłowioną! I biedne serce moje, któremu, od pół wieku już przeszło, wszystko obojętnem było na ziemi, raz pierwszy po sześćdziesięciu latach ziemską rozradowało się radością. Kiedy uspokoiwszy nieco biedne maleństwo, chciałem je znowu w kolebce złożyć, spostrzegłem w niej kartkę z temi słowami: „Ochrzczone, imię Aniela, nieszczęśliwa matka błaga dla niej o litość.“

— Więc to Aniela była?! — zawołał Leon z dziwnym jakimś uczuciem; — więc to nie wnuczka pańska?!

— Aniela, — ciągnął dalej starzec, przenikliwie na Leona spójrzawszy. — Wkrótce mój sługa przyprowadził mamkę; oddałem biedną moją nachodkę pod jej opiekę i znów na mogiłę poszedłem modlić się po dawnemu; ale tą razą ustami już tylko pacierz szeptałem, nie mogąc duszą wlecieć ku niebu, bo dusza przy Anielce została i od grobu do kolebki mię wlekła. Krótco się też pomodliwszy, skwapliwie do dziecinki wróciłem, i cały dzień przy niej spędziłem, nie mogąc dość się jej napatrzeć i dość się nią nacieszyć. Zrazu miałem zamiar oddać ją komukolwiek w miasteczku; ale na myśl mi przyszło, że w ten sposób mogę nieszczęśliwej matce jej zaszkodzić, która nie bez celu zapewne na smętarzu ją zostawiła; a budzące się w mojem sercu przywiązanie do tej niewinnej istotki, bardzo silnie argument ten poparło i postanowiłem bądź co bądź, sam się jej wychowaniem zatrudnić. Z dniem każdym coraz się więcej w Anielce rozmiłowując, tyle tylko niance ją zostawiałem, ile tego konieczna wymagała potrzeba; bo zresztą z rąk jej nie spuszczałem prawie ani na moment;

chcąc zaś pogodzić miłość moję dla niej, z miłością dla grobu ukochanej rodziny, pospolicie wszystkie moje godziny, wolne od grabarskich zatrudnień, spędzałem na stopniach tamtego oto grobowca, niancząc na mych rękę anielską moję dziecinę, która coraz to większą krasą rozkwitała, coraz to silniej do świata mię wiążąc. I zaczęła się dla mnie straszna expiacja, która się ciągnie oto już lat dwadzieścia! Dwadzieścia lat, dzień po dniu, chwila po chwili, czując się coraz to bliżej grobu, co raz to mocniej żyć pragnę, tak mi straszno pomyśleć o rozstaniu się z tem jedynem dziecięciem, w którym się odrodziły dla mnie na raz wszystkie radości, wszystkie nadzieje, wszystkie te niewinne roskosze i żądze, przed którymi pół wieku serce miałem zamknięte! O! bo cóż to za cudowna istota z tej mojej ukochanej Anielki! Na grobach wykolysana pieśnią żalobną, pierwsze wrażenia i myśli czerpiąc z pośród murów smętarnych, nieświadoma świata prawie zupełnie, (bo najzacniejsza z kobiet, Pani Michałowa, udzielając jej nauk potrzebnych, umiała ją od jego wpływu uchronić), wyrosła droga moja dziecinka na istotę taką uroczą, taką niezmierną, że trudno i wymarzyć coś podobnego!... I trzebaż mi ją porzucić, porzu-

cić może za chwilę, może oto w tem mgnieniu! porzucić bez najmniejszej opieki wśród tego świata, którego nie zna, nieboga! czyż to nie męczarnia!? czyż to nie rozpacz?! a razem czyż to nie słuszną karą za moje grzechy dawne, za moje zbrodnicze zaparcie się świata podówczas, gdy mu tak pożytecznym bym mogłem?! Sprawiedliwe Boże wyroki! w śmierci się rozmiłowałem, a życie pokrzywdzone pomstę ze mnie wzięło! Dzisiaj tak cierpię, że tych męczarni moich z niczem porównać nie mogę! z niczem! ani nawet z tą chwilą straszną, gdy w tem miasteczku i dworze sam jeden został żywy na grobie całej rodziny mojej!... I tyż to śmiesz pragnąć pójść moją drogą? i tyż się ważysz wyzywać Boga na rękę?! Synu mój! zaklinam cię na wszystko, cofnij się, póki pora; bo gdybym mógł wydrzeć sobie z piersi serce swoje nieszczęsne i cały ból jego pokazać ci tobyś padł trupem ze zgrozy!

— Ojciec mój! — odparł Leon z boleścią, — wierzę temu wszystkiemu; ale żyć tutaj pragnę koniecznie, i nic mię nie odwiedzie od tego.

— Nic? — spytał starzec, — ani sumienie nawet?

— Sumienie mam spokojne, bo czyste.

— Spokojne?! a pocóż wzrokiem swym ścigasz biedną Anielkę moję?... Czyż i teraz jeszcze na

myśl ci nie przychodzi, że równie jak ja, możesz w niej straszną karę Bożą znaleźć, że i ciebie, rozkochanego w grobie i śmierci, jak mnie, ona może przejąć pragnieniem życia i radości?

— Tego się nie lękam — odrzekł Leon nieco spleciony, — nie taję, że patrzę na nią z lubością nierównaną, bo dziwnym jakimś trafem, nie tylko imieniem, ale obliczem, postacią i każdym ruchem, przypomina mi zmarłą, jakby jej siostrę bliźnięcią, jakby nią sama była; ale miłość moja dla tamtej, żadnem się innym uczuciem zastąpić nie da...

— Tak — rzekł starzec surowo; — a toż ci na myśl nie przyszło, że wzrok twój, ciągle ją ścigający, może bardzo łatwo zamącić spokój czystej jej duszy? że może nawet zanadto już się w nią wraził?!

— Boże mój! — zawołał Leon w ręce klasnąwszy, — czyżby to być mogło?

— A czemużby nie mogło? Rozmiłowana we wszystkim co rzewne, smutne i nieszczęśliwe, nie nawykła do widoku młodzieży, do lat dwudziestu wolna od uczucia miłości, pierwszego ciebie ogładając prawie codziennie, otoczonego tym ponętnym dla niej urokiem łez, boleści i świętego żalu, może na nieszczęście zbyt żywo tobą się zając;

a w tedy, stawszy się przyczyną jej zguby, już w tem samym znajdziesz dostateczną karę za tę swoją żalność rozpaczliwą.

— O ja nieszczęśliwy! — wykrzyknął Leon, za głowę się porwawszy, — ach jakże się zawikłały ścieżki życia mojego!! Dzisiaj się wyrzec widoku jej na zawsze, jest już dla mnie niepodobieństwem; bom przywykł na nią patrzeć jak na żywy obraz mojej kochanki, bo jednej z drugą rozłączyć w duszy mojej nie umiem!.. Cóż więc ja pocznę? co pocznę biedny?!...

Starzec siedział chmurny, milczący; Leonowi łzy bujne z oczu się potoczyły, i kilka chwil tak minęło... nareszcie nieszczęśliwy młodzieniec, z jękiem bolesnym, rzucił się do nóg starcowi, wołając głosem rozpaczonym:

— Ojciec mój dobry! litości! litości! nie pogardzaj mną za to, co powiem! nie uważaj mnie za nikczemnego wyrodka a uczyni zadość mej prośbie! Aby mnie i ukochaną twą Anielkę zbawić, nie ma innego środka, jak tylko połączyć nas nazawsze.

— A bój się Boga, szaleńcze! — zawołał starzec oburzony, — wszakże jej nie znasz? rozmiłowałeś się tylko w jej wdziękach, twoją ci kochankę przypominających; a nie wiesz jaka w niej

duśza, i zapominasz, że to sierota, podrzutek jakiś, bez mienia i nazwiska.

— Litości! litości! — jęczał Leon, nogi starca całując — wiem o tem wszystkiem, ale inaczej byż nie może!

Starzec westchnął głęboko, i chwilę przetrwawszy w zamysleniu ponurem: „Ha! — rzekł nareszcie, — niezbadane wyroki Boże! i trudno mi odgadnąć, czy ci to na zgubę, czy na zbawienie będzie?... Może naprawdę Bóg cię chce przez nią powrócić światu i pracy na nim pocziwej... Jeden tylko warunek: oddał się z tą natychmiast i nie wracaj tu prędzej jak za dwa miesiące; jeśli z tem samem przyjdiesz postanowieniem, wtedy opierać się tobie nie będę. Zbliżysz się do Anielki, poznasz ją lepiej, i jeśli cię zechce, to wam po-błogosławię.

Leon ze łzami ucałował kolana starca, i tejsze chwili smętarz opuścił; a grabarz w zamysleniu głębokiem do późnej nocy u pomnika przesiedział, nim po niego nareszcie Anielka nie przyszła.

---

Nazajutrz Anielka, biegąc kwiatki polewać, już nie ujrzała Leona przy grobowcu, i z niepokojem serdecznym wzduż i wszeż smętarz prze-

szedłszy, nie spotkała go nigdzie. Smutna powróciła do chatki, ale się niczem zająć nie mogąc, raz wraz wyglądała w okienko, lub stawała na progu, w trwożnem oczekiwaniu, czy też nie nadejdzie nareszcie? Dziadek smutnie na nią spoglądał i wzdychał z cicha niekiedy, pomimo całej dla niej miłości nie mogąc wynaleźć środka, jakimby jej myśli od Leona oderwać.

Nazajutrz to samo, i tak dzień po dniu, chyba jaki pogrzeb przerwał na parę godzin tę jednostajność smutną, w której starzec stuletni, długimi cierpieniami znękany, udręczony nowym zupełnie ich rodzajem, nieraz pożałował, że tak długi termin Leonowi naznaczył, i biedną swoją Anielkę, a z nią i siebie, na taką troskę naraził.

Upłynęło wreszcie kilka tygodni. Anielka powoli obyla się z nieobecnością Leona, uspokoiła się trochę ale bynajmniej nie zapomniała o nim, i modlitwę swoją codzienną która teraz rzewniejszą i dłuższą niż kiedy się stała, rozdzieliła na dwa ołtarze, ranek spędzając przy mogiłce biednej nieznajomej, wieczór przy pomniku Anieli.

Częściej też niż dawniej zaczęła odwiedzać panią Michalową, nauczycielkę swoje; od niej się bowiem dowiedziała niektórych szczegółów o Leonie, którego zacna ta Pani bardzo dobrze znała;

z nią mogła swobodniej, niż ze swoim dziadkiem, o nim rozmawiać, od niej nareszcie i tę wiadomość wzięła, że biedny młodzian do Czestochowy się udał, Bogarodzicy boleść swą ofiarować.

Zresztą po dawnemu krzątała się nieboga około małego gospodarstwa grabarza; po dawnemu bawiła się igielką; po dawnemu pielęgnowała kwiatki na grobach; tylko w duszy jej czystej nowy świat powstał. Dotąd zamknięta w murach smętarń, pod wpływem sędziwego opiekuna swojego, przy dźwięku hymnów żałobnych i płaczu serc osierociałych, w niezwykle zupełnie sposób rozwinęła się sercem i umysłem. Rzewność głęboka szła u niej w parze z wesołością naiwną, powaga wielka ze swobodą, ze szczebiotliwością prawie dziecięcą; była ona istnym kwiatkiem na mogile wyrosłym, istną ptaszyną w krzewach, ocieniających groby, wyległą; spokój niczem niezakłócony w uczuciach i myślach jej panował; smuciła się bez troski, płakała bez bólu, marzyła bez tęsknoty i zacheń, wyobraźnią swą, po za obręb smętarń w świat szeroki nie biegnąc, i nie gzygając z jaskółką; ze skowronkiem raczej z gniazdeczka swego wprost ku niebu wzlatując, by znów do gniazdeczka powrócić. Ale od kiedy Leon rozalił ją swoją żalością, na raz jeden znikły w niej

swoboda, i wesołość, i spokój; na raz jeden smutek z troską się złączył, łzy goryczą przesiąkły i rozigrane marzenia smigać zaczęły jak jaskółki przed burzą. I dni jej, których dawniej lotu nie czuła, a mijających nie rachowała, wlec się zaczęły jak smutny kondukt pogrzebowy.

Tak więc smętarz stał się prawdziwym smętarzem, bo i dziadek i wnuczka smętnie się zadumali i zatroskali, i zapomnieli zupełnie dawnych swoich rozmów i uśmiechów swobodnych. Jeden tylko Ostap ani się na włos nie zmienił. Starym obyczajem z piosenką wesołą krzątał się koło domu, z piosenką wesołą nosił wodę do polewania kwiatków na mogiłach, z piosnką wesołą nowe groby kopał, a z twarzą uśmiechniętą na świeżo usypanym zasnąwszy, nieraz i przez sen coś zanócił sobie półgłosem.

Minął nareszcie ostatni dzień drugiego miesiąca. Nazajutrz od rana, grabarz, siedząc na grobie swojej rodziny, z wielkim niepokojem przybycia Leona wyczekiwał; kilkakroć nawet aż za bramę smętarń wychodził i tęskny wzrok daleko ku miasteczku posyłał. Przystawszy chwil kilka i niczego się niedopatrzywszy, smutny znów na mogilę powracał. Probował modlitwą skrócić tęskne oczekiwanie; tak dusza jego, ciężką obar-

czona troską, daremnie się podrywała ku niebu!... W końcu skrzypnęły wrota... starzec z niepokojem najwyższym powstał na nogi, i ze skwapliwością młodzieńczą rzucił się na spotkanie przybylca, spodziewając się ujrzeć Leona. Niestety! nie był to Leon, tylko ktoś przychodzący z prośbą o wykopanie grobu.

Grabarz, wyznaczwszy kwaterę dla nowego lokatora swojego, posłał Ostapa do miasta, aby pomocnika sobie do kopania sprowadził, i znów na dawne miejsce powrócił.

Po niejakiem czasie nadciągnął Ostap z miasteczka, i wraz z towarzyszem, którego przyprowadził, ochoczo wziął się do roboty. Grabarz, posłyszawszy głosy pracujących i stukanie rydlów, powlekł się w tamtą stronę, i na stopniach grobowca Anieli, przy którym nieopodal grób nowy kopano, usiadł pochmurny przyglądać się tej pracy. Wkrótce nadeszła tam i wychowanka jego, i w milczeniu miejsce przy nim zajmawszy, oczy nieruchome utkwiała w jamie, coraz głębiej w ziemię zapadającej. I długo tak siedzieli niemi, w tęskną pograżeni zadumę, długo; bo Ostap z pomocnikiem swoim, dokopawszy się już do znacznej głębokości, musieli wreszcie sami do dołu zstąpić, aby dalej robotę swoją prowadzić,

a niebawem i zupełnie znikli im z oczu, piaskiem tylko raz wraz ciskany z jamy, i głuchym gwarem głosu z niej buchającym o obecności swej świadcząc.

Ostap, wesół jak zawsze, nie umilkł ani na chwilę, i ponurego towarzysza swojego zabawiał rozmaitemi anegdotami i dowcipnemi wnioskami, a niekiedy to i piosnkę zeicha zanócił.

— Tak, tak, miły kumie, — mówił w głębi jamy, — poczciwy jakiś człeczyna tu się położy; matka ziemia ochocza dla niego się otwiera; nie spotkaliśmy ani jednego kamyka, ani jednego korzenia; bez łomu i siekiery, duchem wykopaliliśmy jamę... a nie zawsze tak bywa; nie raz się trafi, że cały dzień Boży męczyć się musisz, nim tu kwaterę dla nowego gościa wyprosisz! ziemia święcona wyraźnie czuje kogo w niej chcą zażrebać i broni się jak może od złego człowieka; a i tak bywa, że go potem z wnętrzości swoich precz wyrzuci... A nu, bracie, jeszcze kilka sztychów! nie bardzośmy się spracowali, to można i głębiej, niż zawsze, tutaj się wkopać, a porządną, zaciszną chatkę jemu zbudować. I zanócił półgłosem:

Kudyż mene powedesz,

Koły chaty nie majesz?

— Powedu tia w czużuju,  
Doki swoju zbuduju.

Zbuduj meni z łobody,  
Do cużoi nie wedy;  
Bo czużaja takaja,  
Jak swekrucha łychaja!

Ot już od tej nikt jego pewnie nie odsądzi.

— A pewnie, — odparł towarzysz — jak mu ją Bóg przysądził, to już nikt nie odsądzi. Inna rzecz jakby sam się jej naparł...

Grabarz, który z wielkiem zajęciem przyglądał się robocie i przysłuchiwał się dziwnej, podziemnej rozmowie, z taką swobodą prowadzonej na dnie grobowego dołu, przy piosence wpół rzecznej; na ostatnie wyrazy zachwiał głową z westchnieniem i rzekł, zwracając się do wnuczki:

— Wszędzie i zawsze dla mnie nauka! — naparłem się ja takiej chatki i Bóg mnie od niej odsądził, i resztę dni nieprzeżytych ciężkim smutkiem zakłócił!...

— Dziadku mój drogi! — odparła łzawym głosem Aniela, — czegoż się smucisz? czego wyrzekasz? zawsze myśl o mnie ma ci spokój odbierać?!

— Zawsze moja doniu! zawsze, najmiłsza! a dzisiaj więcej niż kiedy...

— O Boże mój dobry! jakże zazdroścę losu

mojej imienniczki! jakże mi żal serdecznie, że nie dla mnie chatkę tę kopią!

— Otoż to, otoż to, moja dziecinko! pókiś jeszcze była swobodna, jak te ptaszęta, świeża jak te kwiatki, pókiś po wierzchu tylko groby milowała; póty mi jeszcze nie tak ciężko było myśleć o strasznej z tobą rozłące. Ale od dwóch przeszło miesięcy, patrząc na tę zmianę, jaka w twym charakterze zaszła, widząc jak te łyż tajone, zmywają wdzięczny z twego liczka rumieniec, i słyszając jak już do wnętrza grobu swoim serduszkim się kwapisz; takie bluźniercze myśli i chęci w głębi duszy uczuвам, że jak się zstanowię nad niemi, to truchleję cały ze zgrozy nad samym sobą!.. Sprawiedliwe wyroki Boże! Obojeśmy ciężko zawinili, oboje pokutować musimy! lecz jam tu winniejszy, jam ciebie poprowadził do winy, to też i cierpię srożej, cierpię za dwoje!..

— Czemżeśmy zawinili, dziadku najmiłszy?

— Czem? oto tem zaparciem się świata i życia, świat i życie pomstę z nas bierze za niespełnione względem nich obowiązki. Mniemaliśmy żeśmy na tej drodze szczęście znaleźli; a dziś nieszczęśliwiśmy oboje!..

— O! jam szczęśliwa, mój dzadku!

— Szczęśliwa!.. ej doniu moja najśłodsza, nie



złudziś mię, nie złudziś!.. Wiem ja co się dzieje z twojem serduszkim... I tobie, jak mnie, rozmiłowanej w życiu smętarnem, Bóg na mogile rozbudził w duszy uczucie, które ku innemu życiu pociąga!..

Aniela z jękiem przypadła do nóg starcowi, ze łkaniem rzewnem wołając:

— A więc to prawda, dziadku najmiłszy?! więc i ty widzisz to we mnie?! Więc ten niepokój dziwny, co mną owładnął, więc ta tęsknota i smutek; z których zdać sobie sprawy nie umiem, więc te marzenia i dumki rzewne, co rojem niezliczonym, jak pszczoły do lipy w kwiecie, do serca mojego ciągną; to w samej rzeczy miłość dla niego?! Więc nie daremnie zapomnieć o nim nie mogę? więc niedaremnie lica jego blade łzami oblane, i cała jego postać, na grobie tym w modłach przyklękła, we śnie i na jawie, wciąż mi w oczach, które wypatrzyłam wyglądając go ciągle przez łyzy gorące?.. więc ja go kocham naprawdę?! O! dziadkuż mój drogi! naucz że mnie biedną, co ja mam począć?!..

I płakała nieboga, wiążąc się rękętami do kolan grabarza i całując je z uniesieniem. Grabarz siedział milczący, dłonie na jej głowie oparłszy, ze łzami w oczach podniesionych ku niebu, z kądem

smać natchnienia wzywał do stosownej odpowiedzi dziewczęciu, i kilka chwil tak minęło. Ostap tymczasem z towarzyszem swoim dokończywszy roboty, wygramolił się z dołu, i poszedł do chatki; a przy grobie, czekającym ofiary, zostali tylko starzec i dziewczę.

— Dziecinko moja! rzekł nareszcie dziadek z boleścią, nie płaczże tak rzewliwie! uspokój się moja najmiłsza! oddaj się Bogu, a jak on rozrzędzi, tak będzie najlepiej. Bardzo być może...

I urwał wpół myśli, i z radością najżywszą: otoż i on! zawołał.— Aniela, oderwawszy od jego kolan zapłakaną twarzyczkę, obejrzała się w koło i z okrzykiem uszczęśliwienia zerwała się na nogi, ujrzawszy po tamtej stronie świeżo wykopanego dołu Leona. Dół ten obu końcami przyparty był do grobów, na których się wznosiły krzyże sztachetami wkoło opasane, przytykające do gęstych klombów; Leon, pragnąc czem prędzej stać przy grabarzu i przy Anielce, zamiast się precisnąć między jamą a sztachetami, albo ją obejść aż poza klomby, wołał raczej przeskoczyć; pomknął się nagle, ale się piasek z pod stopy mu osunął, i biedny młodzian, zamiast u nóg kochanki, znalazła się na dnie dołu!... Z krzykiem przerażenia Aniela rzuciła się ku niemu... Nic mu

się wprawdzie zlego nie przytrafiło, ale ten wypadek przykre i na nim i na obecnych sprawił wrażenie, które jeszcze smutniejszym się stało, kiedy Anielka podając Leonowi rękę, aby tem łatwiej z jamy mógł się wydobyć, i sama wpadła tam za nim. Na szczęście Ostap wrócił po zapomniany rydel, i dopomógł obojgu wyzwolić się ze złowrogiej tej samolówki. Gdy już wyszli z dołu i smutni, zmieszani, stanęli na równej ziemi, nie wiedząc od czego zacząć rozmowę; starzec się pierwszy odezwał:

— Wrócisz, Panie Leonie, ale jak widzę, zła cię tu gwiazda przywiodła, gdy na samym wstępie taką nieszczęśliwą wróżbę spotkałeś. Grób was rozdzielił, w grobie się chyba złączycie...

— Wszakżem wytrzymał próbę! wszakżem wierny powrócił! zawołał Leon. — Ojczy mój dobry! miałżebyś słowo swoje odmienić?!

— O! nie, mój synu! ja go nie odmienię — odparł starzec ze smutkiem; a choćbym i odmienił, wasze lata dłuższe od moich, i po mojej śmierci pewniebyście poszli za radą serca własnego; ale jest wyższa wola i przed tą się nie ostoicie.

— A więc Panna Aniela mnie nie odrzuca? — wykrzyknął Leon, w rozradowaniu najwyższem; — więc się mogę spodziewać?!...

I ujął ją za rękę i pocałunkiem serdecznym zapytania dokończył.

Szkarłat najżywszy oblał lice Anieli i lzy bujne z oczu jej się rzuciły... Pierwszy ten pocałunek, pierwsze to zetknięcie się z ukochanym, którego do tej chwili imieniem tem nienazywała nawet w najskrytszej głębi serca swojego, własnych uczuć pojąć nie mogąc, dziwne sprawiły na niej wrażenie! Serduszko jej wybuchło jak proch iskrą dotknięty, i omal piersi nie rozszalało; pociemniało w oczętach, zamąciła się główka, i ból jakiś wielki, i radość niewymowna na raz duszę przejęły... i drżąca, zapłoniona, łzami zalana, stała tak, oczu podnieść nie śmiejąc, i ust otworzyć nie mogąc.

A Leon pochłaniając ją wzrokiem rozmiłowanim, modlił się głosem rzewliwym: O! Pani moja! dokończ — że już ze mną cudu Bożego! zjawiłaś mi się na grobie mojej Anieli, z jej imieniem, z jej ciałem, z jej pewnie i duszą, jak by ona sama, potęgą mojego żalu wskrzeszona, nie bierz mi więc tego za przeniewierstwo tamtej, żem się tak pokochał, jakbym kochał tamtą zmartwychwstałą, tamtą, przez śmierć wyzwoloną z przemocy, która rozdzielić nas chciała... Ach powiedz, zaklinam cię na wszystko, że zechcesz

bydź dla serca mego prawdziwym Aniołem zmarłych wstania!..

Aniela z płaczem rzewliwym upadła w objęcia swojego dziadka, i twarzyczkę na jego pierśiach ukryła; on ją utulił, ucałował z czułością, i rzekł, uprowadzając ku dworłowi:

— Póđźmy do chaty, tam się lepiej porozumiecie.

W parę potem tygodni grabarz z Anielką i z Leonem znowu się po smętarzu przechadzał; ale już tą razą spokój i swoboda jaśniały na wszystkich twarzach. Młodzi się porozumieli i za dni kilkanaście miał wreszcie ślub ich nastąpić. Łatwo więc pojąć szczęście ich obojga; łatwo wyobrazić czego doznawało sieroce serce dziewczęcia znalazłszy kogoś, co pozbawionemu rodziny i świata, miał i rodzinę i świat cały dać w sobie; łatwo zrozumieć, czego Leon doznawał, odzyskując swego Anioła, z którym go naprzód ludzie, a potem i śmierć sama rozłączyła na wieki! — Poznawszy bowiem Anielę, nie tylko z ciała ale i z duszy, znalazł ją zupełnie do swojej zmarłej podobną. Łatwo nareszcie odgadnąć, co czuł stary grabarz, widząc że ukocha-

nej wychowanki swojej już bez opieki nie porzuci na świecie, i że pozostałe godziny, od grobu go dzielące, będzie już mógł przeżyć bez tych strasznych katuszy, jakie przez lat dwadzieścia znosił, myśląc o swojej śmierci i o sieroctwie Anieli. Czasami jednak na małą chwilkę zasepiło się jego czoło i z piersi tłumione wyrwało się westchnienie; bo w sercu zbolewał radość jego wielką, jakies złowrogie zamęcało przeczucie. — Walczył z nim starzec całą siłą swej woli, zmarszczki na czole dłonią wygładzał i z lubością oczy obracając na młodą parę rozmiłowaną, widokiem jej szczęścia chciał się od ponurych widem zasłonić; ale daremnie! I patrząc na niego, pomimo woli na myśl przychodził widok jesiennych niebios w noc wietrzną, gdy po ich jasnym błękiecie, roziskrzonym przez pełny księżyc i gwiazdy, raz w raz chmurka za chmurką szybkim się lotem ścigają, nie wiedzieć z kąd przychodząc, i kędy niknąc.

Idąc tedy smętarzem, grabarz opowiadał Leonowi historję jego grobów. Znał je wszystkie dokładnie, bo wszystkie w jego oczach powstały, i o każdym zmarłym zwykle się coś dowiedział albo od pozostałej rodziny, albo od niegoż samego w sennych swoich widzeniach. O każdym też miał

co powiedzieć, bo może być tak marny człowiek na świecie, którego życie, dobrze zbadane, nie było najciekawszą historją? — My pospolicie obojętnem okiem, po wierzchu tylko się ludziom przyglądamy, ztąd też najczęściej ani się domyślamy tych dramatów olbrzymich, które się wkoło nas odegrywają codziennie na wielkiej scenie świata, a w których najznakomitszą rolę ma ktoś maluczki w naszym przekonaniu, zdający się nam tylko niemym figurantem.

Leon z wielkiem zajęciem słuchał tych opowiadań, które już się ciągnęły przez kilka takich poobiednich przechadzek. Nie mam zamiaru wszystkich tutaj powtarzać, bo i w kilkunastu tomach ichbym nie spisał, gdyż nie jedno z nich na całą powieść mogłoby treści dostarczyć; te tylko wspomnę, które pośredni, lub bezpośredni związek z życiem naszych znajomych mają.

Oto właśnie grabarz z Anielką i Leonem zbliżył się do grobowca Oxany, córki Ostapa.

— Tutaj się nieco dłużej zatrzymamy, rzekł siadając nieopodal na wielkim głazie i wskazując miejsce obok siebie towarzyszom swoim. — Ale nie... ty moja doniu słuchać nie będziesz..... pora abyś poszła do domu herbatę nam zrobić.... biegnij, droga gołąbko! my też w krótkce przyjdziemy. —

Choć nie z wielką ochotą, Anieli usłuchała woli swego dziadka, który nigdy jeszcze nie opowiadał przy niej szczegółów historji grobu Oxany, wyraźnie dając jej do zrozumienia, że są tam pewne okoliczności, o których wiedzieć nie powinna; a gdy już odeszła, tak zaczął swoją opowieść:

— Jest to jeden z grobów najdroższych sercu mojemu; z duchem jego mieszkanki oddawna ścisła łączy mnie zażyłość, i od niego samego wiem najdokładniej smutną historją tej nieszczęśliwej dziewczyny, która w swem życiu zniosła najstraszliwsze męczarnie i po śmierci jeszcze błędnym sądem ludzkim potępiona została.

Znałam ją za życia. Ojciec jej, ot ten staruch wiecznie śpiewający, Ostap, od lat już pięciu służy tu u mnie; przez parę lat Oxana, która służyła ztąd o wiorst kilka, u bogatej jednej obywatelki wdowy dość jeszcze młodej i nadobnej, bywało niemal co święta tu przybiegała na pieśczęty i pogadankę z ojcem ukochanym, który, jak to mówią, duch dla niej ronił. Bo też i warta była jego miłości i moja Anielka za nią przepadała, i ja, obojętny na wszystko, okrom przybranej mojej dzieciny i rodzinnego grobu, ze szczerem upodobaniem i weselem patrzyłem na to dziewczę, hoże, wesoluchne, szczebiotne,

niewinne, które ilekroć się tu zjawilo, i przystroiwszy się w kwiatki smętarne, zaczęło gruchać i przymilać się do nas serdecznie, tylekroć uroczysta moja powaga i zamyslenie rzewne, ustąpić wnet musiały przed jakimś dziwnem rozradowaniem, które przemocą do serca mi się cisnęło i rozjaśniało chmurne oblicze na widok dzieciącego się Ostapa i rozigranej drogiej mojej Anielki, pociągniętych urokiem wesołości Oxany.

Trzy lata temu, jednej niedzieli nie przysła do nas. Dzień był chmurny, słotny, myśleliśmy że to jej pewno przeszkodziło; lecz w następnym tygodniu, pomimo najpiękniejszej pogody, znowuśmy nie ujrzeli Oxany. To już nas trochę zaniepokoiło, a Ostapa najbardziej... Minał jeszcze tydzień, nastala z utęsknieniem wyglądana niedziela... szczebiotka nasza znów zapomniała o nas!

Najwyższym niepokojem przejęty, Ostap, wyprosiwszy się u mnie, co mu nietrudno było, powędrował do Horochówki, gdzie Oxana służyła. Pewny byłem że wieczorem powróci; ale się zawiodłem: nie przyszedł ani nazajutrz, ani na trzeci dzień nawet; dopiero we czwartek przywlekl się na smętarz i nie wchodząc do izby, ot tam pod kaplicą powalił się na ziemię. Szczerze się przyznam, żem go posądził o pijaństwo; byłem pe-

wny, że we wsi spotkawszy się z kumami i krewniakami, podochocił sobie porządnie. Niespokojny i nieukontentowany poszedłem pod kaplicę ku niemu; lecz jakżem się zdziwił i przeraził, kiedy się zbliżywszy, posłyszałem jęk i płacz jego żałośny!

— Ostapie! — zawołałem ze współczuciem serdecznem, cóż ci się stało? widziałeś córkę?

— Niemam już ja córki, nie mam! jęknął rozpacznie. — Niewspominaj mi o niej, Panie mój miły! nie rozdzieraj serca mego!..

— Jakto? umarła? — wykrzyknąłem z niewymówną boleścią. —

— Ach! wolałaby umrzeć! płakał Ostap, powstawszy i oparłszy się o mur kaplicy, z rękami załamanemi, z głową zwieszoną; — wolałaby umrzeć śmiercią najstraszniejszą! wolałby ją żywą ogień pochłonąć! wolałby ją dzikie rozszarpać zwierzęta!..

— Mówże, na miłość Bega, co się z nią stało?

— Przeklęta! — wykrzyknął Ostap, zaiskrzone pod łzami oczy i zaciśnięte pięście wznosząc ku Niebu. — Przeklęta bezwstydnica i dziecobójczyni!..

Oslupiałem ze zgrozy i bolu strasznego, i jak posąg kamieniu stałem wpatrując się w biedne-

go starca, którego trzy dni rozpaczy zmieniły do nie poznania, złamały, nachyliły ku ziemi, głębokimi brózdami pooraly czoło do tąd pogodne, i gęstym szronem osypały włosy dotąd jeszcze prawie zupełnie wolne od siwizny. Oprzytomniawszy nareszcie, ze współczuciem głębokiem, rzuciłem się ku niemu i ująwszy go w swoje ramiona, zawolałem z płaczem rzewliwym:

— O biednyż ty, Ostapie! trzebaż ci było dożyć tego nieszczęścia!...

Starzec z objęć moich osunął się ku moim nogom, i całując je z uniesieniem, lkaniem tylko na serdeczne słowo odpowiedział...Podniosłem go, odemkałem kaplicę, i zaprowadziwszy nieszczęsnego przed ołtarz Matki Bolesnej:

— Tu— rzekłem— szukaj ulgi i pociechy!

Starzec z głuchym jękiem upadł twarzą do ziemi, a ja poleciwszy go Bogu szczerą modlitwą, odszedłem, pozwalając mu płakać i modlić się swobodnie.

W kilka dni potem stanął przedemną pisarz z Horochówki, prosząc o wykopanie grobu dla Oxany, po za murem smętarnym; nieszczęśliwa bowiem ofiara namiętności szalonych, samobójstwem zakończyła życie zbrodnicze. Zakuta w kajdany, i za żelazne kraty zamknięta na wszelkie

badania uporczywem odpowiadała milczeniem, a gdy jej straszny wyrok objawiono, w wilgą ekzekucji rostrzaskała sobie głowę o mur więzienia. Dziedziczka Horochówki, która ją bardzo lubiła i wszelkiemi siłami starała się los jej gorzki osłodzić, wyjednała przynajmniej tyle u duchownej i świeckiej władzy, że jej nie wywieziono na rozstajne drogi i dozwolono pochować tuż obok mogiły smętarnych.—

Przygnębiony tą straszną wieścią, przemyślałam nad tem, jakby ją przed Ostapem utaić, który przez cały ten czas chodził jak obumarły, bez myśli i bez mowy; ale furman pisarza znieweczył wszystkie moje projekta i jak z czem dobrem pobiegł z nią do nieszczęsnego starca, który wysłuchawszy tej okropnej nowiny, zaśmiał się śmiechem szalonym i porwawszy rydel na ramię, podskakując z pieśnią wesolą pobiegł na smętarz kopać grób dla swej córki.

Nic mi już tedy nie pozostało, jak tylko rozmówić się z Anielką która dotąd nic nie wiedziała o haniebnej zbrodni Oxany i nigdy o nic; wiedzieć nie mogła, i której smutek i przygnębienie Ostapa udało mi się złożyć na karb ciężkiej choroby córki jego jedynej; teraz musiałem, prowadząc dalej kłamstwo moje pocziwe, samobój-

stwo nieszczęśliwej dziewczyny przypisać straszej malignie, w której, nierozważnie sama zostawiona, rzuciła się z drugiego piętra przez okno i śmierć w taki sposób znalazła.—

Powiodło mi się wybornie; Anielka uwierzyła wszystkiemu; a choć bardzo smuciła się biedna i płakała, zawsze jednak nie czuła takiej bolesti, jakąby jej szczerą prawdą sprawiła.—

Ku wieczorowi przywieziono zwłoki Oxany, na głucho w prostej, białej zabite trumience. Ostap nikomu do niej dotknąć się nie dał, i jak własną ręką dół grobowy wykopał, tak na własnych rękach i trumnę do niego spuścił, i sam jeden jamę zasypał, wyśpiewując pieśni warjackie i skacząc tropaka, aby ziemię udeptać.

Miarkuj Waść, co się działo ze mną, gdym na to wszystko patrzył? co się działo z Anielką, która drżąca, wybladła, oburącz się wiążąc do mojego ramienia, stała tam przy mnie w przeżeniu i bolesti, nawet się na modlitwę zdobyć nie mogąc; bo widok tego starca płasającego z pieśnią i śmiechem na grobie jedynej córki samobójczyni, przechodził wyobrażenie najstraszliwszego żalu i męczarni.— Dokończywszy roboty, Ostap zarzucił rydel na ramię i wyprostowany, z głową wzniesioną, jedną się ręką w boki

podparłszy, przyspiewując wesoło, ani spojrzawszy na nas, wprost przez pole pomaszerował ku miasteczku.—

Uklękliśmy wtedy na świeżym grobie i rzewną modlitwą oddaliśmy w Boże miłosierdzie duszę biednej grzeszniczki.

Na noc Ostap nie powrócił do chaty, i nazajutrz dzień cały widać go nie było. Niespokojny o niego, posłałem gospodynię do miasta, aby się dowiedziała u ludzi, czy go tam kto nie widział.— Wkrótce powróciła z nowiną, że od wczora starzec nieszczęsny pije na zabój w karczmie: wychyli na raz kwartę i leży jak kłoda; a ledwie oczy otworzy, znowu się wódką zalewa!... Srodze to mię zmarliwiło, bom się bardzo lękał, aby go rozpacz nie pociągnęła do zgubnego nałogu. Znów do miasteczka gospodynię wysłałem z zaleceniem do szynków, aby staremu wódki nie dawano i aby go strzeżono troskliwie, i niespokojnie wyglądałem końca tej katastrofy.

Na trzeci dzień wreszcie wrócił biedaczysko, wynędzniały, wybladły, z sił zupełnie wyczerpany; ale trzeźwy spokojny i swobodny. I jakby nigdy nie było, ani wspomniawszy o swojej córce, ani na grób jej zaszedłszy, wziął się do zwykłej pracy, gawędząc i przyspiewując wesoło po dawnemu.

Upłynął miesiąc i my z Anielką obyliśmy się z naszym smutkiem powoli, i odarniowawszy mogiłkę samobójczyni, nie śmiejąc na niej krzyża postawić, potrosze i zapominać zaczęliśmy o niej.

Aż jednej nocy, w sennem marzeniu, Oxana, jakby żywa, oczom się moim zjawiała, z wieńcem lilji białych na głowie, białą jak śnieg, okryta szatą i niebiańską otoczona jasnością.

— Jam niewinna, — rzekła głosem anielskim. — Postaw krzyż święty na mej mogile i wciel ją w obwód smętarny. —

Ocknąwszy się, długo przy pacierzu poranym, rozmyślałem o tem dziwnem widzeniu. — Już to, prawdę rzekłszy, odrazu mi się w głowie to zmieścić nie mogło, by się Oxana takiej zbrodni dopuściła; ale nie umiejąc sobie niczem spełnionych faktów wytłómaczyć, wierzyć oczywistości musiałem. — Sen mój zachwiał tę wiarę, bo dotąd nigdy duchy z tamtego świata w niczem mi nie kłamały; nie śmiałem jednak spełnić prośby dziewczęcia, i choć własnoręcznie krzyż wy-ciosalem i pomalowałem, nie zdobyłem się wszakże na tyle odwagi, aby go zanieść na grób samobójczyni i dzieciobójczyni:

Lecz kiedy znowu ległem na spoczynek w swej

trumnie, ledwie oczy we śnie zamknąłem, znów ujrzałem Oxanę, jeszcze bielszą i promienniejszą, z jeszcze większym wdziękiem w twarzyczce i słodyczą w głosie, i znów posłyszałem rzewne błaganie:

— Jam niewinna! niewinna! postaw krzyż na mej mogile i wciel ją w obwód smętarny!

— Nazajutrz dzień cały chodziłem jak struty, rady dać sobie z tym snem moim nie mogąc, i nie wiedząc, co począć? Kilkakroć już brałem krzyż na ramiona, aby go zanieść na grób Oxany, lecz w końcu zawsze odwagi mi zabrakło, i znowu spać ległem, nie spełniwszy prośby biednej grzesznicy.

Trzeciej nocy, nie we śnie już, lecz wyraźnie, jakby na jawie, uczulem lekkie dotknięcie czyjejs ręki, budzące mię z uśpienia, i otworzywszy oczy, w blasku, izdebkę całą zalewającym, spostrzegłem stojącą przy mnie Oxanę, w liljach i szatach śnieżnych, i po raz trzeci dobitnie posłyszałem te same słowa co wprzód.

— Ha! dziejsięż już wola Boża, — pomyślałem sobie powstawszy, i dnia nie czekając, przy świetle księżyca zniosłem krzyż na mogiłkę samobójczyni i z modlitwą serdeczną mocno go w ziemi utkwilem. — Nazajutrz znowu do mnie przyje-



chał pisarz z Horohówki z poleceniem abym kazał wykopać i wymurować grób dla owej wdowy, obywatelki, u której niegdyś służyła Oxana.

Była to pani wielce nabożna, oddana modłom, postom; kwestom, i różnym praktykom religijnym; to też z wielką paradą i wystawą jej pogrzeb się odbył; z Winnicy sprowadzono konwent kapucynów i z różnych stron Podola trzech najznakomitszych kaznodziejów wezwano. Cała droga od Horochówki aż do miasteczka, obstawiona płonąciami beczkami, wyglądała jakby rzeka ognista, po której przy odgłosach żałobnej muzyki i śpiewów wspaniały płynął karawan. Rzecz jednak dziwna! mimo całą wymowę kapłańską, cnoty nieboszczki wychwalającą, w niezliczonej rzeszy pospólstwa i obywateli, na ten żałobny obrzęd zgromadzonych, ani jednej łzy nie spostrzegłem, ani jednego słówka żalu nie słyszałem! To też po rozejściu się tłumu ze smętacza, z sercem ściśniętem przyklekliśmy z Anielką na sklepionym grobie, i może sami jedni tylko serdeczną, szczerą zmówiliśmy modlitwę po tej nabożnej pani, po której, mimo wszystkie jej piękne czyny, zapłakać komu nie było!...

Nazajutrz przybył tu do mnie pański przyjaciel, który był wówczas powiatowym lekarzem,

i wręcz mię zapytał gdzie jest mogiła Oxany?— Odpowiedziałem mu, że się znajduje tuż za murem smętarnym.

— Panie mój!— rzekł wtedy lekarz—zrób mi jedną łaskę bardzo wielką, za którą ci największą wdzięczność będę winien! postaraj się nieznacznie zająć ją w obręb smętacza, i krzyż na niej postawić!

Zdziwiony tem żądaniem, tak zgodnem z moimi snami, chciałem się dowiedzieć, co było jego pobudką.

Powiem panu otwarcie, — odrzekł mi lekarz, — że od tego spokój mej duszy zależy, którego nie mam od śmierci tej dziewczyny...Zachodzi tu jedna okoliczność fatalna, która mię panu w bardzo niekorzystnem świetle przedstawi, do której jednak przyznać się muszę... Na śledztwie o samobójstwie nieboszczki oskarżonej o zamordowanie własnego dziecka, ja byłem ordynowany do dyssekowania jej trupa, i ze zdumieniem największem lacno się przekonałem, że matką nigdy nie była!.. Natychmiast się udałem do jej pani, która zbladłszy straszliwie, omal nie zemdlała na tę nowinę, i długo w osłupieniu ust nie mogła utworzyć, a wreszcie wyjąkała błagalnie:

— Panie mój! na miłość Boga, nie podnoś już

tej sprawy! nia wywołuj nowej ofiary i nowej hańby na włosć moją, a z nią i na mnie, nie ściągaj! Niech raz już przecie wszystko się to skończy!... Zmarlej twoje zeznanie na nic się nie przyda, a żywym nowych nieszczęść przyczyni...Zdajmy to wszystko na Pana Boga! on niewinność nagrodzi, a winowajców sam skarze...

I jak zaczęła mię błagać, a zaklinać, a płakać, chcący niechcący uledez jej musiałem, i biedne dziewczę, hańbą okryte zagrzebano w ziemi niepoświęconej, a z niem i mój spokój! Odtąd bowiem w nocy zjawia mi się we śnie biedna Oxana, anielską krasą otoczona, i rehabilitacji się domaga, i prosi głosem rzewliwym, abym z jej grobu hańbę zdjął i przekleństwo!...

— Zawsze jednak była samobójczynią, — rzekłem zdumiony opowiadaniem gościa mojego, — i ja, równo z panem, w snach przez jej ducha niepokojony, nie śmiem uczynić zadość jej prośbie... Boję się nawet czym już ciężko nie zgrzeszył, krzyż na jej grobie postawiwszy... A zresztą, od kiedym to uczynił, już mi się więcej nie zjawia; sądzę więc że tego dosyć.

Lekarz jeszcze nalegał, lecz wreszcie musiał ustąpić i dał mi pokój.

Zaledwie odszedł, niebo się chmurzyć zaczęło,

i ku wieczorowi na okropną burzę się zaniosło; jakoż w nocy najstraszliwsza wybuchła: gromy padały po gromach, aż ziemia się trzęsła, niebo nieustannym ogniem płonęło, a deszcz lał tak gwałtowny, jakby nowym potopem Bóg świat chciał ukarać!...

O świcie wszystko ucichło... Wstawszy, poszedłem smętarz obejrzeć, w obawie, czy gwałtowność burzy grobów nie uszkodziła. Niepłonna była ta trwoga; wiele kwiatów i krzewów powódź połamała i namulem pokryła, a cały smętarz głębokimi poorala bruzdami, tak jednak szczęśliwie, że potoki pędzące w dół do stawu, jak gdyby Bożą kierowane ręką, żadnej mogiły nie tknęły; ale przy murze, smętarz otaczającym, w jedno się zbiegłszy koryto, śnać całą siłą w jeden punkt uderzyły i na parę łokci szeroką bramę sobie otwarły, zrównawszy z ziemią część obmurowania... Było to jak raz przeciw grobu Oxany, który wszakże został nienaruszony, ze swoim prostym krzyżykiem, bielejącym wśród zielonej darniny, deszczem hojnie splókaney. Nawała o kilka kroków przeszła koło niego i po dolinie nad stawem rozsypała gruzy i kamienie, ze smętarza zebrane.

Na tem rumowisku zdala spostrzegłem zgraje

psów. gryzących się przy jakimś ścierwie... podszedłem bliżej sam już nie wiem dla czego, i z krzykiem rozpaczonym, z laską wzniesioną, jak wściekły, piorunem rzuciłem się na nich... o ludzkie to bowiem ciało tak gryzły się z sobą zażarcie!... Psiska się rozbiegła, ale już tylko same kości po ich uczcie zostały, a poszarpane szczątki atlasu jasno świadczyły, że tym trupem zhańbionym były zwłoki jakiejs kobiety! Wzrokiem obłąkanym obejrzałem się wkoło... nieopodal śród kupy gruzów, spostrzegłem szczątki trumny strzaskanej, a na samym wierzchu leżała deska, amarantowym axamitem obita, ze złocistym napisem. Była to trumna dziedziczki Horochówki, pani biednej Oxany!... Ona rzekła: zdajmy to wszystko na Pana Boga; on niewinność nagrodi, a winowajców sam skarże! I Bóg słyszał jej słowa, i sprośne jej cielsko własną swą ręką śród burzy precz z poświęconej ziemi wyrzucił i oddał głodnym psom na pożarcie; a mogiłce Oxany sam drogę do smętarza otworzył!

A więc nie marne były te wieści głuche, po samobójstwie Oxany w okolicy krążące, które uważając za niecne plotki, za oszczerstwo zbrodnicze, odpychałem ze wstrętem, uszy zatykając przed niemi!? A więc to ona, jeden błąd drugim

chcąc zakryć, hańbę wdowieństwa swego z trupem zamordowanej własnej dzieciny, starała się w ziemi zagrzebać; a wreszcie obie zbrodnie straszliwe na niewinne dziewczę zwaliwszy, do samobójstwa je popchnął!!

Ze zgrozą i ohydą zgarnawszy do kupy porozwlekane kości tej zbrodniarki, powróciłem do dworku, a wzięwszy z sobą młotek i kielnię i poleciwszy Ostapowi aby niósł za mną szaflik z rozrobionem wapnem, znowu się udałem na miejsce sądu Bożego. Tu pokazawszy swemu towarzyszowi mogiłę jego córki, wdzięcznie zieleńjącą pośród rumowiska, przeciw wyłomu, i sponiewierane cielsko jej pani; opowiedziałem mu cuda Bożych wyroków. Trzebaż było widzieć święte zdumienie i radość Ostapa!..Z okrzykiem dzikim, szalonym, rzucił się na grobowiec ukochanej swojej Oxany, i obejmując go z uniesieniem, pieszczotliwie się tulił do zimnej ziemi, i całował, i łzami ją oblewał, jak gdyby żywe swe dziecię garnął do łona, jakby je chciał przeprosić za ciężką krzywdę, którą mu łatwowiernością swoją wyrządził..

Kiedy się uspokoił już nieco, kazałem mu kości pani z Horochówki zanieść na smętarz i wrócić do mnie pomagać mi w robocie. Skoczył

żwawo z pieśnią wesolą, zgarnął do worka szczątki obmierzłe, zawlekl je do trupiarni, i znów przyszedł do mnie kamienie mi podawać. — W kilka godzin skończyliśmy robotę. Mur smętarny, w niewielki łuk wygięty, zformował pewny rodzaj alkowy, która ogarnęła i do smętacza wcieliła mogiłkę nieszczęśliwej Oxany: a kości jej Pani musieliśmy w prostej jamie zagrzebać na tem samem miejscu, gdzie burza grób jej wypłukała z ziemi; bo jej siostrzeniec, spadkobierca jedyny, zaraz po pogrzebie w świat gdzieś pogonił, i nie było komu o czemś lepszem pomysleć; a ja nawet krzyża nie śmiałem wznosić nad grzeszną tej zbrodniarki mogiłą, i dotąd pokrzywa tylko i osty na niej bujają.

Skończył starzec i poszedł klęknąć na mogiłce Oxany, a z nim i Leon, i parę chwil na modlitwie spędzili. Powstawszy smutni i zadumani, szli dalej między grobami w uroczystem milczeniu, aż się zatrzymali przed szeregiem czterech grobowców, wznoszących się jeden obok drugiego, z czterema krzyżykami z białego marmuru, które wszystkie razem opasywały żelazne sztachety. Na krzyżach świeciły złote napisy: na pierwszym Iгнаś L... zmarły 1822 r; żył lat 5; na drugim: Zygmus L... zmarły 1830 r; żył lat dwa; na trzecim

Antoś L...zmarły 1834 r; żył lat trzy; na czwartym: Henryś L... zmarły 1836 r. żył lat cztery.

— Oto masz jeszcze jedną kartę arcy-ciekawą z mojej wielkiej księgi dziejów smętarnych, — rzekł starzec, wskazując Leonowi ten smutny, a tak wymowny pomnik. Cóż myślisz, proszę, o sercu biednych rodziców, którzy te krzyże tutaj stawiali, którzy w ciągu lat kilkunastu stracili czterech synaczków, żadnym się nie nacieszywszy, i każdego tracąc jak raz w tę porę, gdy już największą zaczynał być im pociechą i największej miłości ich doznawał?! Nie prawdaż, że godni politowania nieszczęśliwi ci ludzie, o których tyle ci jeszcze powiem, że oprócz tych zmarłych, innych dzieci nie mieli i nie mają, w najsmutniejszym sieroctwie dożywając dziś wieku!

— O prawda że biedni! — zawołał Leon ze łzami w oczach.

— Biedni, bez wątpienia, — odparł starzec surowo; — Są to ludzie bardzo zamożni. Gdy się pobrali, dwadzieścia lat temu, a Bóg ich związek pobłogosławił drogiem dziecięciem, rzekli sobie naonczas: dosyć nam tej jednej pociechy! całą naszą miłość i całą fortunę jedynakowi oddamy, a i nam i jemu lepiej z tem będzie; bo srogie są bole macierzyńskie i kłopotliwe życie

ojcowskie, gdy mu trzeba się troskać o chleb i wychowanie licznej rodziny. Upłynęło lat kilka; Ignas zawsze był jedynakiem, jako jedynak pielęgnowany i kochany, co wszakże nie przeszkadzało młodej i pięknej matce używać świata, a ojcu gonić za fortuną i honorami. Ale snąć Bogu nie podobały się takie rachuby i pragnienia, i aby im przypomnieć, że celem małżeństwa jest rozmnożenie rodziny chrześcijańskiej, nie zaś hodowanie bogatych, a rozpieszczonych jedynaków i używanie świata, póki służą lata; wziął Ignasia do swojej chwały i zmusił ich błagać siebie gorąco o nową jeszcze pociechę. Błagali i Bóg wysłuchał; ale nieszczęśliwi, nie zrozumieli strasznej nauki, bo znów synaczka swego jedynakiem mieć chcieli, nie myśląc o tem, że i tego zarówno stracić mogą. Pieszczona i kochana rosła druga dziecinka, a ojciec po dawnemu gonił za fortuną, matka się po dawnemu bawiła, zarzekając się srogich cierpień macierzyństwa... Tymczasem ja tu, wspominając swoje drogie pociechy, zmarłe prawie w tym samym wieku, co ów Ignas L., rozmiłowałem się w jego mogiłę, obsadziłem ją kwiatuśkami i nie raz przy niej modliłem się, dumalem i płakałem. A skutkiem tego usposobienia, zawiązałem wkrótce serdeczny bardzo sto-

sunek z duszyczką niewinnego dziecięcia i często się z niem w snach moich pieściłem... Jednego razu Ignas, który mi się zawsze objawiał promieniący rajskiem weselem i swobodą, stanął przedemną smutny i łzawy, jak fioletek rosą poranną obłany, i wieszając mi się na szyi z rzewnem przymileniem: dziaduniu! — prosił — ostrzeż moich rodziców, niech się opamiętają! niech się nie boją błogosławieństwa Bożego, i niechaj niem nie gardzą; bo znowu Pan Bóg ciężko ich skarze! — On im przeznaczył wydać na świat liczną rodzinę; oni chcą jedynaka i buntują się przeciw Jego wyrokowi. Łacno odgadnąć kto tu zwycięży! Jeśli nie przejrzą, wola się Boża mimo ich oporu spełni, lecz ani jedno dziecię przy nich nie zostanie na pociechę i podporę smutnej ich starości!...  
— Aniolku mój! — rzekłem — czemuż sam tego im nie powiesz?...

— Niemogę, — odparło dziecie — bo oczy ich mnie widzieć, a uszy słyszeć nie godne!

Posłuszny woli błogosławionego dziecięcia, nazajutrz rano do jego rodziców się udałem i słowo w słowo powtórzyłem to wszystko com od niego posłyszał. Ojciec się mocno zamyslał, matka zapłoniona, śmiechem ironicznym chciała pokryć swoje zmieszanie, a wreszcie oboje, wyparł-

szy się grzechu swojego, widzenie moje złożyli na chorobliwość i dziwaństwo wyobraźni mojej dzieciństwa. — Wybaczenie więc rzekłem im na to, jam swoje spełnił, a wy patrzcie już siebie. — I powróciłem na smętarz.

Następnej nocy znowu mi się Jgnaś pokazał, za spełnienie prośby dziękując; lecz już to było po raz ostatni; odtąd go nie widziałem, nie wiem dla czego. W parę tylko po tem miesięcy, z boleścią niewymowną, okok mogiłki Jgnasia, drugą wykopałem dla młodszego jego braciszka — Spełniła się straszna pogroźka, a tak mi żal było biednych, zaślepionych rodziców, żem nawet nie miał dosyć odwagi spojrzeć na nich podczas pogrzebu, i z modlitwą rzewliwą zamknąłem się w mojej izdebce. Daremnie! i tam mię doszedł jęk ich rozpaczny, górujący po nad hymny żałobne i dzwónów bicie!...

W rok potem z wielką posłyszałem pociechą że Bóg litościwy osłodził znowu ich sieroctwo. Ha! — pomyślałem sobie, nauczeni próbą bolesną już się pewno opamiętają! I powoli, powoli zapomniałem o nich prawie zupełnie. Aż we trzy lata znowu mi się przypomnieli nieszczęśni, bo trzecią mogiłkę przy dwóch pierwszych kopać musiałem!

Przerażony tą straszną ich zatwardziałością i surowością Bożych wyroków, przypomniawszy sobie ów jęk ich bolesny, który przed czterema laty przedarł się był do mnie przez mury mojej chatynki, posłyszawszy zbliżający się kondukt, uciekłem ze smętarza w pole daleko, żeby się od tych okropnych wrażeń uwolnić. Powiadano mi potem że matkę prawie nieżywą oderwano od trumny ukochanego dziecięcia, a ojca pod ścisłą straż wziąć musiano, aby się z żalu nie zabił.

Ale cóż powiesz? trzykrotnym ciosem dotknięci, przebywszy takie próby bolesne, jeszcze nie uchylili głowy przed Bożą wolą, tak wyraźnie się im objawiająca! W pięć lat niespełna wykopałem czwartą mogiłkę, dla czwartego ich dziecka i oburzeniem, zgrozą przejęty, już się nie zamykałem w chatce, nie uciekałem w pole; sam z rydłem w rękę postanowiłem zwłoki niewiniątka ziemią przysypać, by z wyrzutem potem najsroźszym spojrzeć w oczy tym ludziom i przygnębić ich wzgardą najstraszliwszą. Ale daremnie były te zamiary; mordercy czworga dziełek bydź na pogrzebie nie mogli: musiał zostać w domu przy matce, oszalałej prawie z rozpaczy!...

Lat kilkanaście odtąd minęło. Niekopałem już więcej grobów dla tej rodziny, bo też i kolebka

nie powstała w nie więcej. Biedni grzesznicy darmo się modlą, darmo najgorliwsze niosą Bogu ofiary, chcąc wybłagać sobie to, czego dawniej tak bardzo się lękali! Przebrało się źródło miłosierdzia Bożego, i dzisiaj sami jedni na świecie, z rozpaczą widzą, że nie będą mieli na czyją głowę złać ostatniego błogosławieństwa, i że to mienie wielkie, którem jedynaka obdarzyć chcieli, by w nim znaczenie rodu swego uświetnić, przejdzie w obce imie i w obce ręce, nieznane, a najpewniej niewdzięczne!

— O mój Boże! — zawołał Leon głęboko wzruszony, — cóż to za mądra księga ten pański smętarz! co karta, to nowa, wielka nauka, żywemi wypisana głoskami!

— Tak, tak, mój synu! byle tylko umieć z niej czytać!... Pójdźże jeszcze dalej; przeczytamy jeszcze jeden ustęp bardzo ciekawy, choć nieskończony... Wprawdzie oto już i Anielka powraca, aby nas na herbatę prowadzić; ale to nic nie szkodzi; opowiadanie moje długo trwać nie będzie.

W samej rzeczy przyszła Anielka prosić na herbatę; lecz grabarz, raz już się rozgadawszy, chciał się nagadać do woli, i rzekł, idąc dalej:

— Jeszcze chwileczkę tu się zatrzymamy. Chcę Leonowi pokazać twoją ukochaną mogiłkę *biednej nieznanymej*. Jeśli masz ochotę, pójdź z nami.

I wszyscy troje w tamtą się stronę zwrócili.

Stanąwszy przy grobowcu, na którym wryty był ów rzewny napis: *tu leży mama*, grabarz wskazawszy nań Leonowi, rzekł uroczyście:

— Przykleknij tu, schyl czoło, przypatrz się temu pomnikowi, przeczytaj epigraf, i powiedz mi potem, widziałeś kiedy mauzoleum wspanialsze, wznioślejszym ozdobione napisem?! Dla mnie jest to jak gdyby ołtarz najświetniejszy, przy którym się modlić i z niebios wzywać pociechy wszystkim sierotom, co nawet grobu matki swojej nie znają biedne!...

Leon, jak gdyby niewidomą siłą popchnięty, kleknął, pochylił się nad deską, aby napis przeczytać, i coraz bardziej głowę zniżając, upadł wreszcie zupełnie, twarzą do niej przyłgnawszy i rzewnym zaniósł się płaczem...

Grabarz i Anielka, sądząc, że może własną matkę sobie przypomniął i pamięć jej święci łzami sierocemi, w uroczystem milczeniu usunęli się nieco na stronę, aby mu dać swobodę w wylaniu świętego żalu, i sami też modlić się zaczęli. Ale zmówili już wszystkie pacierze za umarłych, polecili Bogu z osobna wszystkich bliższych sercu swojemu; a Leon jeszcze od mogiły się nie oderwał! Anielka tkliwie wzruszona synowską jego

boleścią i sama wreszcie łzami się zaląła, i tuląc do ust rękę grabarza:

— Dziadku mój!— rzekła, — możeby lepiej nie dać mu tak płakać, bo mu to jeszcze zaszkodzi!

— Prawda, — odparł starzec, — że jużby dosyć tej żalości! Strasznie jest sercowy! gotów się rozchorować jak wtedy...

I przystąpiwszy do Leona, rzekł ze współczuciem:

— Dziecko moje kochane! dosyć że tego płaczu! nie wiedzieć bo czego tak się rozżalas! Powstań no, a posłuchaj historii tego grobowca...

— Ojciec mój drogi! — odrzekł Leon powstawszy, głosem pełnym boleści, — o wiem ja dobrze czego się tak rozżalam, i ja to raczej tobie historją tego grobu opowiem, bo to grób mojej matki rodzonej!

— Twojej matki? — zawołał starzec ze zdumieniem największem.

— Pańskiej matki? — podchwyciła wraz z nim Anielka. — Zkądże to panu wiadomo? Któż ten napis tutaj położył?

— Ja sam go wyryłem słabą ręką sierocą, w najsmutniejszej i najpiękniejszej chwili życia mojego...

— I cóż? przerwał starzec, — w szeroki świat

rzucony potem, (wiem żeś nazajutrz po pogrzebie swej matki przepadł ztąd bez śladu), zapomniałeś biedna dziecino, o nazwisku tego miasteczka, na którego smętarzu zwłoki jej spoczęły?

Nie zapomniałem! nie zapomniałem, ojciec mój drogi! — odparł Leon z bolem rozpaczonym, — to — też dzisiaj we łzach rozplynać się tu powinienem, albo spłonąć hańby płomieniem!.. Słuchajcie moi najdrożsi!.. słuchajcie strasznej mojej spowiedzi!.. u grobu mojej matki najmilszej wyznam wam grzech mój przeciw niej popełniony; ale z góry was błagam o litość i przebaczenie, a może i duch jej z Nieba mi przebaczy. Lat temu dwadzieścia, biedna matka moja, której, od kiedy ją zapamiętać mogę, nigdy nie widziałem inaczej, jak tylko łzami rzewnymi zalaną, zbita okrutnie i sponiewierana przez męża, czego nie ten raz jeden sam byłem świadkiem, śnać już nie mogąc dłużej wytrwać w tem piekle, gdy ojciec mój zasnął snem ciężkim opoja, ujęła mnie za rączkę, i w świat nieboga poszła z płaczem i modlitwą. Po kilku dniach ciężkiej pielgrzymki, rzekła mi wreszcie, że mię zaprowadzi do mego dziadka, a swego ojca, którego nie widziała lat dziewięć, bojąc się gniewu jego srogięgo, za jakąś wielką winę. Nauczyła mię, jak mam go



witać, i jak doń przemawiać; i po niejakiem czasie stanęliśmy u drzwi wielkiego dworu. Matka moja drżąca, przygnębiona, twarz zapłakaną, wybladłą w chustce ukrywszy, oparła się o kolumnę balkonu, nie mogąc bez podpory utrzymać się na nogach; ja, niepojętą jakąś trwogą przenikniony, oburącz uczepiwszy się jej sukni, tuliłem się do niej, płacząc pocichu i z przerażeniem wpatrując się we drzwi zamknięte. Po chwili wyszedł lokaj w pysznej liberji, i kilka groszy podał mojej matce. A matka rzewnem łkaniem się zaniosłszy: Panie mój dobry! — jękla boleśnie, poprosił Pana Marszałka niechaj sam raczy wyjść tu na chwilkę! mam bardzo ważną sprawę do niego!.. Lokaj, wyraźnie mocno wzruszony, bo mu łza nawet zakręciła się w oku, skwapliwie pobiegł spełnić tę prośbę; jakoż niebawem ukazał się na ganku jakiś starzec poważny siwy jak gołąb', smutny i pochylony i wzrok badawczy ku nam obrócił. Matka moja, ujrawszy go przed sobą, piorunem do nóg mu runęła, wołając głosem pełnym bólu i żalu: ojczy mój! przebaczenia! litości! — i ja, com się był konwulsyjnie do jej sukni uczepił, potoczyłem się w ślad za nią i upadłszy u stóp tego starca, zapłakałem żałośnie: o, mój dziadku jedyny!

przebac, ach przebac biednej matce mojej!! — I przez długą chwilę leżeliśmy tak rozciągnięni na ziemi, czołem zamiatając prochy u nóg tego człowieka, w którego rękę Bóg losy nasze złożył. On, snąc osłupiały z podziwu i boleści, nie mogąc z razu rozpierszłych myśli zebrać, stał wyprężony, bezwładny... a wreszcie, jakby na jadowitą żmiję nadeptał, odskoczył od nas z przerażeniem i wstrętem, i krzyknął głosem drżącym w gniewie straszliwym: precz ztąd wyrodna! precz bezwstydnico, coś mi rospaczą i hańbą życie zatrula!! Przekląłem cię całą mocą mojej boleści, i jeszcze raz przeklinam!! Jęk rospaczy, przeciągły wyrwał się z piersi mej matki, któremu ja głosem łkaniem zawtórzyłem; lecz już groźny starzec pewno tego nie słyszał, bo z ostatnimi słowy do drzwi się rzucił i z trzaskiem zawarł je za sobą... Mrok upadł; cisza grobowa ogarnęła dwór cały; matka moja leżała na marmurowych schodach bezwładna, bez śladu życia. Z boleścią i przerażeniem zacząłem ją szarpać i cucić, i całować, i gorącemi łzami oblewać zbladłe i zimne jej lice,... i docuciłem się jej nareszcie!.. Powstała, rozgarnęła włosy, rozsypane po jej twarzy bezładnie, spojrziała wzrokiem obłąkanym dokoła, ujęła mię za rękę

i w milczeniu ponurem dom opuściła ojcowski, w którym zamiast litości i przebaczenia, ponownie tylko przeklęstwo znalazła!! Przeszedłszy wiorst parę, z sił zupełnie wyczerpana, padła pośród pola pod krzyżem, i zimnemi rękoma tuląc mię do siebie:— dziecko moje najmilsze! — rzekła głosem nikiącym— gdyby się kto pytał, nic nie powiadaj o tem, coś w domu rodzicielskim widywał, zapomnij nawet o nazwisku ojca twojego, zapomnij i o dziadku twoim! nieszczęśliwą sierotę bezimienną Bóg cię opieką swoją otoczy, i za cudze winy karać ciebie nie będzie, a ja cię błogosławię całą mocą mojej boleści, błogosławię, jak mię przekleli!... I głos jej skończył się cichem westchnieniem, ręce zadrżały i konwulsyjnym, mocnym uściskiem przygarnęły mię do łona... Zasnęła... Znużony płaczem, trudem i głodem, i ja też wkrótce pograżyłem się we śnie głębokim. Kiedym się ocknął o świcie, matka moja nieboga, zawsze mię trzymając w swoich objęciach, jeszcze spoczywała uspiona. Nie chcąc jej budzić, przytulilem się główką do jej piersi i zacząłem szeptać pacierz poranny..... Ale coś mi zimno i straszno było.... przeleżawszy tak z pół godziny, zniecierpliwiony głodem i chłodem, chciałem się zwolna z objęć macierzyńskich wysliznąć; ale tak mocno byłem

ujęty, że nie mogłem tego uczynić. Z rzewnem więc przymileniem, pocałowałem ją raz i drugi, chcąc tą pieśczołą ją zbudzić; lecz ona ani się poruszyła; twarz jej zimna i blada, ani nawet zadrgnęła pod gorącym, serdecznym pocałunkiem moim! Wtedy przerażony, strasznym jakimś, rozpaczliwym wysiłkiem, wydarłem się z rąk macierzyńskich, które, jakby drewniane, wyzwoliwszy mię z swego uścisku znowu się skrzyżowały bezwładnie, i zacząłem płakać i krzyczeć w niebogłosy, z tego przerażenia przytomność całą straciwszy... Wkrótce nadjechali poczciwi jacyś ludziska, do miasteczka dążący; zatrzymali się przy nas, zapytali się o przyczynę mojego płaczu; a kiedy im wskazałem matkę moją rozciągniętą pod krzyżem, popatrzyli na nią ze smutkiem, dotknęli rąk jej i twarzy, i rzekli wreszcie: umarła!... trzeba policji oznajmić, a dziecko zawieść do proboszcza.— I postawiwszy jednego przy zwłokach mojej matki, kazali mi siąść na wozie i jechać z nimi; ale ja z płaczem rzuciłem się do trupa, i uczepiwszy się doń uburącz; krzykiem i łzami oparłem się ich chęciom. Odjechali, zostawiwszy mię wraz z wartownikiem u ciała mojej rodzonej. W parę potem godzin przybył jakiś urzędnik, a z nim kilku ludzi. Urzędnik zaczął mi się do-

pytywać się łagodnie o mój ród i nazwisko i o historję życia mej matki. Lecz ja, pamiętny jej napomnienia, bardzo zręcznie zupełną niewiadomość udałem, odpowiadając dziecinnemi ogólnikami. Urzędnik, znudzony tem badaniem, widząc że się nie dopyta niczego, kazał wreszcie zabrać na wóz zwłoki mej matki, mnie posadził z sobą na bryczce i udał się do miasteczka za niemi. Tegoż dnia odbył się pogrzeb nieszczęśliwej tulaczki, a pocziwy Ksiądz Proboszcz wziął mię na opiekę. Nie będę opisywał stanu moich uczuć sierocych, łatwo je odgadnicie. Nadewszystko wygórowała we mnie tęsknota do matki, od której trupa i mogiły z trudnością wielką dawszy się oderwać, nazajutrz, jak tylko oczy otworzyłem, wykradłem się z probostwa i pobiegłem na smętarz. Instynktem na ukochany grób trafiłem i długo, długo płakałem i modliłem się na nim, biedny sierota! A gdy się leż już i modlitw przebrało, owładnięty jakąś apatją, zacząłem oglądać się wkoło po grobach i spostrzegłem, że każdy z nich naznaczony był jakimś napisem, a na mogiłce mej matki, prosta tylko deska położona była pod krzyżem... Wziąłem ostry krzemyk, walający się tam na świeżo wygrzebanym piasku, i słabą rączynką, po długim mozole, wydrapałem na desce te rze-

wne, serdeczne słowa: *tu leży mama!* Ledwie skończył tę pracę, posłyszałem czyjeś kroki za sobą. Obejrzałem się trwożny i z przerażeniem największem spostrzegłem swego dziadunia, który mię z biedną moją mateczką, tak srodze, z przekleństwem, od nóg swoich odpędził. Struchlałem, z miejsca się ruszyć nie mogąc!... a dziadunio mój, z jękiem bolesnym, padł na klęczki przy grobowcu mej matki, i siwą głowę na nim złożywszy, modlił się i płakał rzewliwie, długo, i szeptał jakieś skargi i zaklęcia żałośnie, jak gdyby przebaczenia żebrząc u zmarłej... Powstał nareszcie smutny, bolem złamany, i w milczeniu ująwszy mię za rękę, poprowadził za sobą. Szedłem pokorny, bo mię ten człowiek zaczarował strachem potężnym. Wyszliśmy za miasteczko na drogę i siedliśmy do pięknego powozu, który nas zawiózł do owego dworu wspaniałego, z kąd matka moja wyszła z przekleństwem. Tu, oddany jakiejś staruszce na opiekę, zabawiwszy dni parę, wyprawiony wreszcie zostałem do Warszawy, ze zmienionem imieniem i nazwiskiem, (ochrzczono mię nawet na nowo), i z najsurowszym nakazem, abym raz na zawsze zapomniał o rodzicach i o całej swojej przeszłości, jak gdyby nie istniały dni dotąd przeżyte, jakbym się w tej chwili na świat

narodził. — Po kilkunastu leciech nauki, wezwany listownie od mojego dziadka, w ciężkiej leżącego chorobie, odebrałem od niego, wraz z błogosławieństwem, niewielki ten folwarczek, który dzisiaj posiadam, i ponowioną przestrożę, abym ani myślą nie wracał do lat moich dziecinnych, abym nawet grobu mojej matki nie szukał, bo mię to zgubić może na wieki. Wkrótce dziadek mój umarł, a ja, nikczemny, najwierniej zalecenie jego spełniłem, i ani razu nie postąpiłem na tym śmętarzu, dopóki śmierć Anieli tutaj mię nie ściągnęła. Przyszło mi wtedy na myśl, że to palec Boży przywiódł mię w to miejsce, karząc tak srodze za wyrzeczenie się grobu macierzyńskiego; a jednak bojąc się wywoływać przeszłość zamierzchną, postawiony fatalizmem jakimś, w tej niebezpiecznej pozycji jaką mi dało nazwisko uzurpowane, nie miałem dość odwagi, aby choć ukradkiem odszukawszy drogiej mogiły, synowskiemi łzami ją poświęcić. — Tyś mię dopiero do niej przyprowadził, ojcze kochany! i dzięki ci za to, dzięki najczulsze! Ciebie Bóg wybrał za narzędzie swej woli, i niechaj ona się święci!... Tyś to pewno sam, nie przeczuwając do jak wielkiego celu to posłuży, grób mojej matki opieką swoją otoczył, obsadził go krzewami, wygłębił napis, rę-

ką swoją zaledwie zarysowany, i od zatrąty pamiętkę tę zachował, aby mi w danej chwili staranie najświętszych węzłów przypomnieć, i do pokuty i do żalu serce moje pobudzić. Tuż się spowiadam, oskarżam się przed tobą, przed wami obojgiem, i litości i przebaczenia waszego błagam!!

I z płaczem rzewnym rzucił się do nóg grabarza, który go podniosłszy, utulił na swoich piersiach, i rzekł z wielkiem wzruszeniem:

— O biedny ty, biedny! niechaj ci Pan Bóg i duch twojej matki przebaczy! a ja się tylko lituję nad twoją nędzą i słabością!

— A pani? — wyjąknął Leon do Anielki się zwracając — czyż mi przebaczysz? czyż mną teraz nie wzgardzisz?...

Anielka chwyciła go za rękę i padła wraz z nim na klęczki przy grobie jego matki.

Kiedy powstali po kilku chwilach rzewnej modlitwy; pojdźmyż teraz — rzekł grabarz, — pojdźmy do domu, a ja ci dopełnię twojej smutnej historii, a może i na drodze ją skończę, bo nie wiele jej braknie.

Idąc też tak prawil: — W swoim czasie slyszalem ja o nieszczęsnej przygodzie twojej biednej matki. Młodziuchna, niedoświadczona, dała się obalamucić jakimus officerowi, nie zważając na

to że to był szuler, pijak, impetyk, słowem lotr z pod ciemnej gwiazdy; a gdy ojciec ze wzgardą i oburzeniem odrzucił oświadczenie jego, uważając je za zuchwalstwo największe; nieboga dała się wykraść uwodzicielowi swojemu i ślub z nim potajemnie wzięła. Starali się potem przebłagać zagniewanego rodzica, ale starzec zawzięty, zamiast przebaczenia, przeklął nieposłuszną swą córkę i wyrzekł się jej zupełnie. — Otoż i wszystko, a reszta już ci dobrze wiadoma.

Skończył starzec i wszyscy troje weszli do domku grabarza.

---

Nazajutrz zabrzmiały hymny pogrzebne nad nowym dołem, tuż obok tamtego, który tak smutną wróżbę z ust grabarza dla Leona wywołał. Złożono w nim zwłoki bardzo zacnego obywatela z okolicy, pana Alexandra Z., który choć nie miał prawie żadnego rodzeństwa, jednakże było komu po nim zapłakać; bo na tym smutnym obrzędzie tłum ludu się roił, a byli w nim, nie tylko chłopcy i szlachta, lecz nawet i żydzi; tak powszechna była miłość i cześć dla nieboszczyka, który sercem prawem, do największych ofiar zawsze gotowym, umysłem ukształconym wysoce, i charakte-

rem pełnym ujmującej słodyczy bardzo słusznie na nie zasłużył. A jakie życie, taka i śmierć jego była. Wolą ostatnią zaczynszował wszystkich podanych swoich, a cały dochód z majątku przeznaczył na szkółkę dla dzieci biednych officyali-  
stów; kapitały zaś rozdarował starym sługom swoim. Nie dziwy zatem, że wiele łez szczerych nad jego grobem wylano, i że nikt prawie nie miał suchej powieki.

Anielka, której nie obce były cnoty nieboszczyka, rozrzewniona tym wielkim powszechnym żalem jakim pamięć jego święcono, także nie mogła się wstrzymać od serdecznego płaczu, jakby po kimś najbliższym, a nawet nigdy jeszcze po nikim nieznanym tyle łez nie wylała; i po rozejściu się tłumowi długo się jeszcze na tym grobie rzewnie modliła, sama sobie zdać sprawę z żalości swej nie mogąc.

Grabarz tymczasem; w domku swoim zamknięty, ślęczył nad jakimś listem, który mu rządcą nieboszczyka podczas pogrzebu oddał. Przecierając kilkakroć oczy i okulary, przeczytał go raz i drugi z końca do końca, i jeszcze obracał go na wszystkie strony, i jeszcze ze zdumieniem i ciekawością weń się wpatrywał, i zamyslał się smutnie i pomarszczone czoło tarł gwałtownie.

„Szanowny Panie Dobrodzieju! (pisał Pan Alexander) Z po za grobu racz Pan przyjąć dzięki te najczulsze za tę ojcowską, nieocenioną opiekę, jaką obdarzyłeś moję biedną dziecinę, nieszczęśliwy owoc mojej krewkości, Anielkę, której ani razu w mem życiu do serca przytulić nie mogłem, nie śmiejąc nawet zbliżyć się do niej, słuszną powodowany obawą, abym, zajmując się nią czule, nie zwrócił na się ludzkiej baczności i nie zdradził przed światem strasznej tajemnicy, któraby hańbą okryła najzacniejszą jej matkę, przeze mnie tylko pociągniętą do grzechu. Przeze mnie pociągniętą! tak bez wątpienia; ale popchniętą przez własnych rodziców, którzy ją z razu za mną zaręczywszy, za innego potem wyjść przymusili, szczęście dwóch serc rozmiłowanych poświęcając widokom materyalnym. Z rezygnacją zchyliliśmy czoło przed wolą Bożą; staraliśmy się szczerze zapomnieć jedno o drugim, i parę lat przebojowaliśmy mężnie. Ale fatalność jakaś znowu nas zbliżyła! Narzeczony małżonek mojej kochanki, starzec niedołężny wysłany przez lekarzy do wód zagranicznych, przez lat parę nie wracał, i głuche rozeszły się wieści w okolicy, że już wcale nie wróci, grób w obcej ziemi znalazłszy... Czyż nas potępisz, gdy po-

wiem, żeśmy zapragnęli odzyskać szczęście, dawniej nam przyręczone a wydarte nikczemnie, i żeśmy zanadto zaufali lepszej przyszłości?! A tymczasem, jak piorun ugodziła w nas najstraszniejsza nowina, że ten, któregośmy za zmarłego już mieli, żyje i wraca w domowe progi!.. I coż nam pozostało uczynić?! W twojeśmy ręce oddali ofiarę błędu naszego, za któryśmy oboje dosyć już odpokutowali, będąc przymuszeni zaprzeczyć dziecku naszego, rzucić je na wolę losów niepewnych i wyrzec się całej rodzicielstwa radości! Matka Anielki od kilku lat już wprawdzie nie żyje; ale tak mi była droga jej pamięć, że nawet i po jej śmierci nie śmiałem zerwać zasłony, naszą winę kryjącej; bo mię zawsze dręczyła trwoga okrutna, że lada okoliczność może zdradzić straszną tajemnicę, nad utajeniem której, z taką męczarnią, przez całe pracowałem życie! I teraz spowiadając się z grzechu mojego przed panem, a dziecięciu mojemu, za wszystkie pieszczoty, za całe szczęście, jakiegoby w domu rodzicielskim doznało, dając tylko pośmiertne błogosławieństwo i grób mój zimny; nie śmiem nawet imienia jego matki przed niem wymówić, nie śmiem jej mogiły pokazać, i w niebiesiech już chyba o niej się dowie! Nie koniec na tem. Za-

klinam pana najmocniej, niech prócz Anielki i pana nikt o tem nie wie, że ja byłem jej ojcem! Pan zaś chciej mi wybaczyć, że w testamencie moim na twe imię zapisał kilka tysięcy, niby na wzniesienie mi pomnika i za opiekę nad moim grobem. Jest to posag Anielki, który wyraźnie dla niej bałem się legować. Pragnąłbym wszakże, aby ta summa była jej wianem w duchownych a nie świeckich ślubach. Nie śmiem i nie mogę stanowczo woli jej swojej narzucać; nie uczyniłbym tego, gdybym nawet większe niż dzisiaj do jej serca miał prawo; ale nie taję, że zawsze o niej myślałem, jako o expiatorce grzechów rodzicielskich, i że już stojąc u otwartej bramy wieczności, śmieję się w nią wpatruję z tem przekonaniem, że owoc mej winy sam się Bogu za mnie poświęci. Nie sądz jednakże, dobry mój panie, że myśl ta o expiacji jedyną jest chęci moich pobudką. O, nie! oprócz niej to mam jeszcze na względzie, że biedna moja Anielka na świecie szczęścia nie znajdzie, i że jedynym portem zbawienia są dla niej mury klasztorne, do których dość się usposobiła w życiu smętarnem, dotąd prowadzonem.... A zresztą wszystko to zdaję na pana, pewny, że co uczynisz, to najlepszem będzie. Raz jeszcze o dochowanie ścisłej tajemnicy

najusilniej upraszam; raz jeszcze, za siebie i za matkę, błogosławię nieszczęśliwą moją dziecinę, i przebaczenia jej błagam!“

Takie było pismo pana Alexandra, i nie można się dziwić, że się stary grabarz zamyslił i zatroskał nad niem. Bo w samej rzeczy, co było począć?.... Miałże powiedzieć ukochanej swojej Anielce o nieszczęsnem jej urodzeniu? Miałże jej serce rozżalać na nieznanym rodziców, i hańbą ich przed nią okrywać? Miałże nareszcie wydzieierać jej to szczęście, o którym już nieboga z taką ufnością mówi i wierzy?... Nie! to niepodobna! Rzecz cała w jego wolę oddana.... wspomni więc tylko o Panu Alexandrze, jako o dobroczyńcy biednej sieroty, o dawcy jej wiana, i czułą wdzięcznością przywiąże ją do jego grobu i pamięć jego świętą jej uczyni; i na tem koniec.

Wziąwszy takie postanowienie, wytrwał w niem grabarz poczciwy, ale nie bez walki najśroźszej; bo nieustannie tkwiło mu w myśli żądanie zagrobowe ojca Anielki, którego list pośmiertny codziennie, mimo woli prawie, odczytać musiał, pociągany do tego jakąś siłą nieprzepartą. Tak upłynęły dwa tygodnie; nadeszła wigilja ślubu Anielki. Starzec tego wieczora długo się modlił, zamknięty w swojej izdebce, wzywając z niebios

błogosławieństwa dla ukochanej swojej wychowanki, i usprawiedliwiając się przed duchem grzesznych jej rodziców.

A kiedy klęczał, w zaświatnych myślach zanurzony, nagle się mu wydało, jakoby jego izdebka zmieniła się w bogaty salon magnacki, gdzie na wspaniałej kanapie ujrzał dwoje ludzi siedzących: mężczyznę i niewiastę. W mężczyźnie poznał od razu pana Alexandra; w kobiecie przypomniały mu się rysy, niegdyś znajome, ale jakby zamglone i zatarte, pani Prezesowej, matki owej Anielki, od której pogrzebu opowiadanie moje zacząłem. Oboje byli smutni, zapłakani, milczący. Wtem drzwi się rozwarły i do salonu weszły dwie Aniele, tak do siebie podobne, jak gdyby jedna była zwierciadlanem drugiej odbiciem, i przybliżyły się do kanapy, i jedna z nich przyklękła u nóg pani prezesowej i pana Alexandra. Ci ją podnieśli i uścisknęli z czułością niewymowną; a powstawszy, Prezesowa podała jej czarną suknię zakonną, pan Alexander zasłonę, i uroczystie rzekli wraz oboje: „błogosławimy cię, córko najdroższa!“ W ślad za tem jej towarzyszka chwyciła ją w swe objęcia i zawołała z pocalunkiem serdecznym: „błogosławię cię, siostró kochana!“ I wszystko znikło.

Grabarz upadł na twarz z płaczem rzewliwym i aż do świtu tak przeleżał, łzami i modlitwą wyprasząc się wyraźnym Bożym wyrokiem.

Kiedy powstał nareszcie i wyszedł z swojej izdebki, smutny, splakany, przygnębiony dziwnem swoim widzeniem, zastał Anielkę już ubraną i krzątającą się wesoło około ślubnej swej sukienki. Uściskawszy ją z rozczuleniem, usiadł biedny starzec w kącie na stolku, i stroskaną głowę wsparłszy na dłoniach, przez łzy wpatrywał się w promienistą szczęściem jej twarzyczkę. Serce mu się padało w strasznej katuszy! czuł konieczną potrzebę zwalenia brylantowego gmachu jej marzeń, przeciwnych Bożej woli; ale nie miał na to dość mocy, i usta mu krzepły, kamieniały, ilekroć chciał straszne słowo wymówić!

Nadjechał wreszcie i Leon, aby Anielkę i grabarza zabrać do domu pani Michałowej z kądem już do ślubu udać się mieli. Starzec stroskany, chmurny, bezmyślny, jakby obumarły, obojętnie go przywitawszy, w milczeniu słuchał wesołego szczebiotu pary szczęśliwej i krzątaniu się jej przyglądał; a gdy już wszystko gotowe było do drogi, wziął kij i czapkę w ręce i wyszedł za oblubienicami na smętarsz.

— Wprzód nim z tą odjedziemy, rzekł Leon,



poprosimy o błogosławieństwo drogich zmarłych naszych.

I ująwszy Anielkę pod rękę, wprowadził ją do mogiły swej matki, gdzie przyklękawszy oboje, długo się modlili, biedne sieroty, którym oprócz sędziwego grabarza, nikt z żywych, sercem kochającym, szczerem, nie miał błogosławić! Nie dziwy zatem, że łzawa, rzewna i długa była ich modlitwa!

Powstawszy przyszedł potem do grobu pana Alexandra, gdzie już ze złej sercem, swobodniejszą myślą, odmówiwszy pełną wdzięcznych uczuć modlitwę, skierowali się ku powozowi; kiedy Anielka nagle się zwróciła ku pomnikowi swojej imienniczki i pociągnęła z sobą Leona.

— I u niej o błogosławieństwo prosić nam trzeba, rzekła klękając, i ją oboje powinniśmy przebłagać: ja, za to, że w twoim sercu mieszczę jej zajęła, ty, żeś o jej grobie i o duszy zapomnieli!

— O! pewny jestem, odrzeczł Leon, że ona pobłogosławi szczęściu mojemu, które cudownie sama mi wyjednała u Boga!

I padł na klęczki, i po trzykroć ucałował zimny marmur pomnika...

A kiedy znowu szli do powozu, grabarz, któ-

ry w uroczystym milczeniu krok w krok postępował za nimi, w tym rzewnym, serdecznym ceremoniale, porwał ich raptem za ręce i rzekł ponuro:

— Jeszcze nie koniec! Pomódlcie się jeszcze i na grobie jej matki! ty zwłaszcza Anielko, coś do tej zmarłej tak dziwnie podobna... kto wie, jaki tajemniczy związek między wami zachodzi? kto wie, czy między twoją a jej matką nie było podobieństwa takiego, jak między nią a tobą?... Bóg ci nie dał znać twojej rodzonej, niechże ci ona za przybraną służy i błogosławi z Nieba!

Klękli więc znowu, a dziwna jakaś rzewność przejęła duszę Anielki, i biedna sierota z uniesieniem, z zachwytem, jak gdyby u nóg matki najdroższej, ukorzyła się myślą i sercem.

— No! teraz jedźmy, rzekł starzec, i niech się spełnią Boże wyroki!

I wszyscy troje obrócili się ku smętnej bramie, po którą stał powóz.

— *Pannońko! lubońko!* zawołał Ostap, nagle wypadając z pomiędzy klombów, — a jaż jeszcze nie błogosławił!...

I stanawszy przed oblubieńcami, z twarzą wykrzywioną śmiechem i płaczem, popatrzawszy na nich przez chwilę, zamiast błogosławieństwa, za-

śpiewał, głosem i gestem naśladowując z kolei skrzy-  
pce, cymbały i basetłę:

Sam ne zuaju kudy—idu,  
Kudy — jdu?  
To siam, to tam,  
Po bidu! po bidu!

A skończywszy piosneczkę, rzucił się do nóg  
Anieli, i z rozczuleniem ściskając jej kolana, z głę-  
bi serca zawołał:

— O! błogosław ci Boże! błogosław!... bądź  
szczęśliwa!

— No! dość już tego! przerwał mu grabarz,—  
pójdźmy!

I ujawszy wnuczkę pod rękę, ruszył z nią  
poprzedzie, gdy tymczasem Leon, który był rękawiczkę upuścił, cofnął się kilka kroków aby ją  
podnieść.

Starzec z Anielką wchodzili już w furtkę smętarną, gdy nagle po za nimi, jakby piorun ude-  
rzył, z trzaskiem straszliwym coś się zwałiło, aż  
się ziemia zatrzęsła!... Drgnęli przerażeni... obej-  
rzeli się... grabarz stanął jak posąg, zaciśnięte pię-  
ści wzniosłszy ku niebu; Anielka z jękiem rospa-  
cznym padła bez zmysłów; Ostap się rzucił cucić  
Leona, który leżał bez duszy, rozciągnięty na zie-  
mi pod zwałonym ogromnym krzyżem, co wycio-

siony tam niegdyś na pamiątkę Jubileuszu, przez  
lat kilkadziesiąt stał sobie, zwolna próchniejąc, aż  
runął wreszcie, jak raz w tę porę, kiedy pod nim  
Leon przechodził!

Nazajutrz nowe dwa groby na smętarnu po-  
wstały. W jednym złożono zwłoki Leona, w dru-  
gim nieszczęsnego grabarza, który nie zdołał prze-  
żyć jego śmierci i obłąkania wnuczki swej uko-  
chanej.

Obłąkanie to było dobrodziejstwem prawdzi-  
wym dla biednego dziewczęcia, bo wyrwawszy je  
ze świata strasznej rzeczywistości, wprowadziło  
w błogą krainę szczęścia, niczem niezakłóconego.  
Ustrojona w białą sukienkę, z kwiatami wplecio-  
nemi we włosy, w bujnych pierścieniach po ra-  
mionach rozwiane, z wiecznym uśmiechem na li-  
cach, z wesołą piosnką na ustach, dni i noce  
spędza między grobami, po dawnemu je pielęgn-  
jąc, modląc się na nich, i lada chwila wyglądając  
Leona, który ją przed ołtarz ma poprowadzić.  
Pani Michałowa próbowała ją skłonić do zamie-  
szkania w swym domu, ale bezskutecznie; kilka-  
kroć tam zaprowadzana, zawsze powracała na  
smętarn, dać jej wreszcie pokój musiano, dbając

tylko o to aby zimą nie zakrzepła gdzie na mo-  
gile; bo i zimą najmilej tam się zabawia. Stary  
Ostap z dawną gospodynią grabarza pielęgnuje  
biedną sierotę, otula ją w chłody i słoty; a przez  
wiosnę i lato kwiatki z nią sadzi i piosnki wesołe  
śpiewa.

KONIEC.



1859 r. 25 Sierpnia Żytomierz.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI W DRUKU.

Str.	26	wier.	19	zam.	do niego	czyt.	do niej
—	35	—	2	—	Bóg będzie	—	Bóg cię będzie
—	4	—	11	—	takimi	—	z takimi.
—	44	—	12	—	toż	—	toć
—	47	—	1	—	rozradował	—	rozradowała
—	59	—	2	—	czasem	—	czarem
—	60	—	6	—	chcącej	—	chcącą
—	64	—	4	—	że Lolo	—	że mu Lolo
—	65	—	17	—	swiej	—	owej
—	71	—	3	—	sześdziesiąt	—	ośmdziesiąt
—	89	—	osta.	—	tak	—	lecz
—	97	—	23	—	się	—	cię
—	101	—	14	—	znałam	—	znałem
—	105	—	9	—	mogily	—	mogił
—	109	—	osta.	—	znowu	—	zrana
—	112	—	12	—	w nocy	—	co nocy
—	115	—	5	—	popchnął	—	popchnęła

opr.

132002

**NAKLADEM NOWEJ KSIĘGARNI  
LEONA IDZIKOWSKIEGO**

W KIJOWIE,

*wyszły następujące Dzieła:*

- Grabowski M.** Pan Starosta Zakrzewski, Kop. 75.  
**Kraszewski I. J.** Jasełka wyciąg z pamiętników Kto-  
sia, 4 tomy 1862, Rsr. 4.  
„ **Miód Kaszteleński** Komedja Kontuszowa w 5 Aktach Rsr 1.  
**Kowalski Fr.** Wspomnienia Pamiętnik 2 t. Rsr. 2.  
**Laordaire O.** Hen. Domi. O społeczności katolickiej: Konferencje miane w kościele N. P. Maryi w Paryżu, przekład A. Nowosielskiego.  
**Nowosielski A.** Pamiętniki kuratora magazynów, R. 1.  
„ **Stary Biuralista**, Kop. 50.  
**Sowiński Leonard.** Z życia okruchy, Poematu wydanie drugie Kop. 75.  
„ **Widziadła** Kop. 15.
-